Nr. 216. Lwów — Piątek dnia 19 Września. Rok 1902.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 8 po południu z datą dnia następnego.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi: w kraju i Austryi miesięcz. 2 k. 20 h. w Niemczech . . . . 3 „ — „ w innych Państwach . . 4 „ — „ Za zmianę adresu dopłaca się 40 „ Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu

Prenumerata we Lwowie miesięcznie 2 k

Numer kosztuje we Lwowie . . 8 h na prowincyi . . . 12 h

Numera z poprzednich dni po 20 h.

Wszelkie DONIESIENIA PRYWATNE o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, opisy uczt i zabaw prywatnych, reklamy dla balów, odczytów i koncertów, spisy składek, doniesienia o zgubach, znalezionych przedmiotach i t. d. po 1 k. od wiersza.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

OGŁOSZENIA I PRZEDPŁATĘ MIEJSCOWĄ przyjmuje wyłącznie: Ajencya dzienników Sokołowskiego we Lwowie Pasaż Hausmana l. 9.

Ceny ogłoszeń:

Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy: wiersz petitowy albo jego miejsce 20 h.

W drobnych ogłoszeniach: tłustym petitem za każde słowo 4 h. tłustym garmondem „ „ 6 h. koresp. prywatne „ „ 8 h.

Nadesłane na trzeciej stronicy: Ogłoszenia wiersz petitowy albo jego miejsce . . . . 60 h.

Reklamy po kronice wiersz petit. 1 k.

Ogłoszenia na czele numeru na pierwszej stronicy wiersz petitowy . . . . . 60 h.

Dziś: św. Januaryusza | Wsp. cudu ś. M. | Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca o g. 5 m. 49 | Długość dnia godzin 12 minut 8

Jutro: św. Eustachiusza | Sozonta M. | Zachód „ „ 5 m. 57 | Ubyło dnia od wczoraj 4 min.

Refleksye o reformie wyborczej.

I.

Życie publiczne w Austryi — jak wogóle w całej zresztą Europie — rodzi niestety coraz to smutniejsze objawy. Poszanowanie ustaw i władzy zanika, moralność coraz bardziej upada, parlament jest poniekąd karykaturą tego, co łączy się nierozdzielnie z pojęciem ciała prawodawczego, a namiętności roztaczają wszechwładne swe panowanie. Choroba ta społeczna robi tak przerażająco szybkie postępy, że lęk ogarnia na myśl, co to będzie za lat kilkanaście, jeżeli w porę nie obmyśli się odpowiednich środków zaradczych. Ale jakie mają być te środki? Oto pytanie, niełatwe do rozwiązania. Zmienić system wyborczy — tę radę słyszy się ze wszystkich stron, a dają ją zarówno ci, którzy radziby przywrócić w społeczeństwie zachwiany ład i porządek, jak i ci, którzy pragnęliby zupełnego przewrotu istniejących stosunków. Najgłośniej rozbrzmiewa hasło wprowadzenia powszechnego, równego, bezpośredniego prawa głosowania. Naszem zdaniem jednak większego nieszczęścia nie możnaby już sprowadzić na Austryę i na nasz kraj, jak przez urzeczywistnienie tego postulatu partyi przewrotowych. Nie ma w historyi hasła więcej reakcyjnego, więcej wstecznego nad to. Sprzeciwia się ono zresztą wszystkim uczciwym tendencyom socyalnym. Na pozór ma to być hasło liberalne i demokratyczne, w rzeczywistości jest ono tylko barbarzyńską i autokratyczną przynętą, zatruwającą umysły robotników. Barbarzyńskiem jest żądanie jednolitego, równego, bezpośredniego, powszechnego głosowania z tego względu, że historycznie rozwinięte i ukształtowane społeczeństwo ludzkie chce cofnąć do pierwotnego stanu jednolitych hord, czy rojów ludzkich, które nie znały wcale rozlicznych potrzeb, więc też i żadnego podziału pracy i żadnego różniczkowania praw nie potrzebowały. Barbarzyńskiem jest to żądanie także i dlatego, że znosi rozwinięte dla cywilizacyi i dobrobytu niezbędne podziały, zawody i grupy. Tyrańskiem jest to żądanie, gdyż wszystkie inne interesy, wszystkie grupy i warstwy społeczne pozbawia ich pracy, swobody istnienia i właściwości osobnego rozwoju, a tylko dla robotników te prawa, jako przywilej, windykuje. Jest to bowiem przecież niezawodnem, że w takiem głosowaniu powszechnem wszystkie inne grupy, warstwy i zawody, musiałyby uledz i zniknąć pod mechaniczną siłą liczby miejskich i wiejskich robotników, gdyby ci solidarnie występowali przeciw innym wyborcom.

Ta okoliczność, że powszechne głosowanie pod wpływem pewnych wypadków i pod pewnymi warunkami zostało w niektórych państwach zaprowadzone, nie może służyć ani za argument, ani za przykład do naśladowania. Następstwa fałszywej ustawy nie występują zaraz w całej swojej brutalności, niemniej dzisiaj są one już widoczne. Poziom parlamentów obniża się; toż izbę francuską nazwano pogardliwie parlamentem pomocników weterynarskich (le parlemant de sousveterinaires), a i w innych państwach są parlamenty bardzo często przedmiotem zasłużonych szyderstw i naigrawań. Zauważyć można także to, że to tak zachwalane lekarstwo powszechnych wyborów nie tylko nie uspokoiło tych państw, w których je wprowadzono, ale je coraz więcej wzburza, podminowuje i bytowi ich zagraża. Bywają rozmaite rządy i ustroje państwowe. Forma rządu republikańska funkcyonuje dobrze np. w Ameryce, lecz zapewne nie zechce nikt wyprowadzać ztąd wniosku, że należy także w Austryi republikę zaprowadzić. Każde państwo powinno u siebie i dla siebie ustawy tworzyć, ale nie naśladować niewolniczo innych. Zresztą reakcyjny, antiliberalny, antidemokratyczny, barbarzyński i tyrański charakter ustawy o powszechnem głosowaniu w zestawieniu z historyą społeczeństwa ludzkiego i z rzeczywistymi stosunkami w Austryi tak jest niezaprzeczalnym, że ten lub ów świeży eksperyment zagraniczny nie może zachwiać przekonaniem o niebezpieczeństwie takiej ustawy dla naszego społeczeństwa i państwa.

Hasło powszechnego głosowania, takiego, jakiego przywódcy socyalistów żądają, opiera się na rzekomej równości wszystkich ludzi. Wywalczona już i uznana równość wszystkich wobec prawa nie ma jednak nic do czynienia z równością bezwzględną, która jest fałszem, nigdzie nie istniała i nigdzie istnieć nie może. Jak nie ma dwóch całkiem równych sobie liści, tak też w stopniu wyższym, nie ma dwóch równych sobie ludzi. Nawet pomiędzy masą robotników są ogromne różnice wogóle, a cóż dopiero pomiędzy nierobotnikami. Żądanie socyalistów jest więc logicznym, historycznym, społecznym i prawnym nonsensem, jest tylko hasłem agitacyjnem i rewolucyjnem. Ustawie, odpowiadającej temu hasłu, brakuje zatem kardynalnego warunku, nie opiera się ona i nie wypływa z rzeczywistych stosunków, jest zwierciadłem fałszywem, doktryną wyłącznie negatywną. Przy wyborach z piątej kuryi w Austryi wykonywanie tej ustawy wzburza i fanatyzuje masy tak, że ufają one tylko w przemoc; skutkiem tej ustawy wzrasta u proletaryatu nienawiść do całego społeczeństwa i dążność do niedopuszczenia innych wyborców do urny. Ustawa ta podsyca w ciemnych masach wszelkie dzikie instynkty, podnieca fanatyczne ich zapędy do walki bezwzględnej, zaszczepia w te masy mniemanie, że zdołają one pięścią, kijem i liczbą zapanować nad parlamentem, nad państwem, nad społeczeństwem, że zdołają zmonopolizować wszelką władzę dla siebie i wywrócić wszystko co istnieje.

Przeciwnicy hasła powszechnego jednolitego prawa głosowania, nie występują tem wcale przeciw równouprawnieniu ludności robotniczej, przeciwnie, są oni za tem, ażeby ona była zupełnie równouprawniona, gdyż tego wymaga sprawiedliwość. Ale należycie pojęta sprawiedliwość nie może oznaczać nic innego, jak tylko przyznanie tych samych praw, które inne warstwy i grupy posiadają, a zatem równouprawnienie przez utworzenie osobnej grupy, czyli kuryi czwartego stanu. Idzie tu o uznanie rzeczywistego, ekonomicznego i politycznego czynnika: o pracę ręczną, którą właśnie stan czwarty reprezentuje. Stan czwarty ma prawo do politycznego równouprawnienia w taki sam sposób, jak to u innych warstw istnieje, ale nie może sobie rościć do wyjątkowych przywilejów i do wynoszenia się ponad inne stany i grupy. Legalną organizacyę może stan czwarty otrzymać przez utworzenie izb robotniczych lub innych podobnych instytucyi.

Korespondencye.

Paryż, 16 września.

„Człowiek o żelaznej woli i niezwyciężonej energii", jak nazwał niedawno obecnego szefa gabinetu minister marynarki Pelletan, brnie coraz dalej w walce z Kościołem katolickim. Po zamknięciu długiego szeregu szkół klasztornych, przypomniał sobie, że wiele szkółek rządowych pozostaje dotychczas w zawiadywaniu sióstr, że więc i te należy uwolnić od tego wpływu duchowieństwa katolickiego. A socyalistyczna *Petite République* żąda jeszcze więcej. „Przedewszystkiem — powiada ona — należałoby szkoły świeckie zrobić rzeczywiście świeckiemi; cóż to bowiem za szkoły świeckie, w których nauczycielki trawią dziennie kilka godzin na uczeniu dzieci katechizmu, w niedzielę zaś prowadzą powierzone im dziewczynki do kościoła?!" Tak przyjaciele polityczni p. Combes ciągną coraz dalej na tej fatalnej drodze, na której prędzej czy później musi się spotkać ze stanowczym oporem większości narodu francuskiego.

Ta natarczywość radykalnych krzykaczy pokazała się niedawno jeszcze przy innej sposobności. Przed tygodniem puszczono na wodę nowy pancernik „La République", największy ze wszystkich, jakie posiada marynarka francuska, choć nie dorównywujący niektórym angielskim stalowym olbrzymom. Otóż minister Pelletan pozwolił, ażeby, prastarym zwyczajem, okręt ten *poświęcono* uroczyście, przyczem orkiestra wojskowa grała, a załoga, o zgrozo! śpiewała: *Domine, salvam fac Rempublicam*! P. Pelletan wie, że w dzisiejszych warunkach, przy dzisiejszym składzie morskiego kontyngensu, w którym bretański żywioł, głęboko religijny, zajmuje przednie miejsce, puszczenie na wodę niepoświęconego okrętu jest niemożliwością. Niepodobna by wprost znaleźć dla niego obsługi. Wiedzą o tem i polityczni przyjaciele ministra. Mimo to jednak posypały się na niego gromy oburzenia i zarzuty zdrady. Tak to i w tym wypadku pokazuje się, że radykalizm rządowy, jaki panuje w dzisiejszej Francyi, jest równią pochyłą, po której łatwo bardzo stoczać się w przepaść, ale na której niezmiernie trudno się zatrzymać. Charakterystycznym objawem uczuć, jakiemi szerokie sfery ludności francuskiej otaczają gabinet p. Combes, jest konkurs ogłoszony niedawno przez dziennik *Eclair*. Pismo to wyznaczyło szereg nagród, od 100 do 4000 fr. na odgadnięcie dnia i miesiąca, w którym gabinet obecny upadnie, oraz nazwiska przyszłego premiera.

W ogóle rozpisywanie konkursów z nagrodami stało się obecnie modą wśród redakcyi dzienników paryskich. Niedawno jakiś listonosz bezręki wygrał na konkursie a właściwiej mówiąc loteryi, urządzonej przez *Matin*, śliczną willę, kompletnie urządzoną i umeblowaną. Inni czytelnicy tego pisma powygrywali automobil, fortepian i setki innych przedmiotów.

Echo de Paris wpadło na bardziej sympatyczny pomysł. Pismo to drukuje obecnie t. zw. „Złotą księgę cnót zakonnic". Ubiegający się o nagrodę powinni podać opis jakiegoś bohaterskiego i szlachetnego czynu sióstr zakonnych, usuwanych obecnie przez rząd. Czytelnicy osądzą, który z tych czynów jest najszczytniejszy, i ten, który go opisał, otrzyma nagrodę. Ową zaś księgę złotą złoży redakcya prezydentowi republiki na znak protestu przeciw wypędzaniu zakonnic.

Do rzędu rozumnych pomysłów należy konkurs *Eclair*'a na wynalezienie w czasie wakacyjnym nieznanych lub zapomnianych rękopisów, pamiątek lub zabytków archeologicznych; w wielu bowiem domach na strychu, lub w jakiem starem biurku znajdują się cenne zabytki, które warto uratować od zapomnienia.

Oryginalną klęskę poniosły tu utwory Ryszarda Wagnera. Oto z inicyatywy hrabiny de Greffulhe, młodej jeszcze i pięknej, choć dorosłą już córkę w świat wprowadzającej pani, a wielkiej miłośniczki literatury i sztuk pięknych, zarządzono w bieżącym roku, poza Operą, sensacyjne przedstawienia wagnerowskich arcydzieł, a mianowicie „Zmierzchu bogów". Chodziło o dźwignięcie osobnej świątyni dla niemieckiego mistrza. Ale stała się rzecz nieprzewidziana. Za drugiem czy trzeciem przedstawieniem, między organizatorami tych muzykalnych uroczystości, między wykonawcami, od pierwszych skrzypiec do basetli, i między słuchaczami, od pierwszych lóż do galeryi, zapanowało jedno uczucie, że — Wagner jest śmiertelnie nudny. Rezultat zaś jest taki, że w przyszłym sezonie ten sam muzykalny przybytek, odbudowany z gruntu, otworzy swoje podwoje — utworom włoskich mistrzów, przy współudziale nowego, w Londynie obecnie popisującego się, a wszystkich Mazzinich i Tamagnów w kąt podobno zapędzającego — tenora Caruso.

Wiatr odwrócił się i od Alp napowrót powiał, jakgdyby ulegając wskazówkom dyplomatycznej chorągiewki.

Jeden z przebywających w Paryżu Polaków poruszył myśl bardzo dobrą, żeby domy polskie w kraju, sprowadzające do dzieci bony francuskie, które najczęściej są byłemi służącemi lub szansonistkami... bez zajęcia, zwracały się o bony do istniejącego w Paryżu zakładu Sióstr św. Kazimierza, w którym dzieci polskie otrzymują nader praktyczne wychowanie, władając przytem świetnie językiem francuskim. Wychowane nader pobożnie, w rygorze klasztornym, dzieci Polaków, zamieszkujących Paryż, oraz emigrantów i znajdujących się tu robotników, wszystkie z rodzin biedniejszych, otrzymują, wraz z zasadami wiary i prawdziwej uczciwości, wykształcenie dość rozległe, a zwłaszcza nader pożyteczne. Że każda z tych dziewczynek mówi świetnie po francusku, pisać chyba nie potrzeba; wiele z nich nic po polsku prawie nie umie, jakkolwiek polskie noszą one nazwiska, tak, że siostry dopiero uczą je czytać, pisać i modlić się po polsku. Wszelkie przedmioty wykładane są po francusku, przytem bardzo obszernie przechodzą dziewczęta kurs gospodarstwa domowego: więc doskonale szyją, haftują, gotują, robią wszelkie roboty kobiece, słowem są doskonale przygotowane jako zarządzające domami, bony i zastępczynie pani domu. Są tam i sieroty bezdomne, dla których wejście do rodzin polskich na wsi byłoby błogosławieństwem.

Adres tego zakładu opiewa: *Couvent de Saint-Casimir, 119, rue du Chevalcret, Paris.*

„Agencya polsko-francuska" w Paryżu weszła niedawno w nową fazę istnienia. Po ciężkich debiutach zaczyna się dla tej pożytecznej instytucyi szereg jaśniejszych dni bo interesy idą coraz lepiej. Przeniosła się ona z odległej dość ulicy de Rome w środek Paryża na ulicę Jean-Jacques Rousseau 58. Sprawy mnożą się, ożywienie panuje wielkie, a najlepszym tego dowodem będzie otwarcie niebawem agencyi w Warszawie, która, skupiając interesentów, ułatwiać im będzie jeszcze bliżej stosunki z Francyą.

Zdaje się, że skierowanie bacznej uwagi na wywóz z Królestwa Polskiego przeróżnych materyałów surowych przyniesie spore korzyści. O takie surowe produkty t. zw. „matières premières" często dopytują się tu kupcy francuscy. Agencya ma zamiar rozwinąć w tym kierunku gorliwą czynność, jednocześnie otwierając w Warszawie agencyę reprezentacyi godnych rozpowszechnienia u nas produktów i wyrobów francuskich. Do takich należeć będą skóry obrobione z pierwszorzędnych fabryk francuskich. W zakresie wywozu z Królestwa Polskiego do Francyi materyałów surowych wielką przyszłość mieć może wszystko, cokolwiek tylko wywozić zechcemy, a więc: smoła, szczecina obrobiona i nieobrobiona, byle w dobrych gatunkach itd. itd.

W *Revue des deux Mondes* pojawiła się pochlebna wzmianka o świeżo dokonanym przekładzie polskiego, bezimiennie u nas ogłoszonego, a pod tytułem „Le Travail" na język francuski przeniesionego i przedmową znanego publicysty, ojca Baudrillart, opatrzonego dziełka. „Niema potrzeby ukrywać dłużej — pisze redakcya — że autorką jest pani Zamoyska, stwierdzająca w ten sposób podniosłość poglądów, uczuć i usiłowań, któremi odznacza się żywioł kobiecy w jej kraju".

Niewątpliwie z telegramów wiecie już o najnowszej sensacyi tutejszej, o mowach Pelletana. Nie pamiętają tu, aby minister kiedykolwiek tak kompromitował rząd, jak ten zapalony mówca. Wygaduje on przy zupełnie obojętnych okolicznościach takie rzeczy, jak np. w Ajaccio lub w Bisercie, że organy rządowe nie wiedzą, jak się z tego wykręcić, zaś przeciwnicy rządu zacierają ręce, albowiem narażanie się na śmieszność jest dla gabinetu większą klęską, niż rzeczywisty błąd polityczny. Może więc te niedorzeczne mowy zdziałają to, co dotychczas nie mógł zdziałać opór stronnictwa konserwatywnego, że gabinet stanie się wkrótce niemożliwym.

Co i o czem piszą.

Czas otrzymał z bardzo poważnych sfer obywatelskich w Wielkopolsce list, uzupełniający pod niejednym względem podany już opis uroczystości cesarskich w Poznaniu i zachowania się ludności polskiej. Owoż i w tym liście zachowanie się to przedstawione jest jako w całem tego słowa znaczeniu wzorowe. Oto urywek z listu tego:

Ludność polska zachowała się z nadzwyczajnym spokojem i rezerwą; niczem nie przeszkadzała uroczystości niemieckiej; swoje jednak zadowolenie objawiła spontanicznie tylko wówczas, gdy cesarzowa zwiedzała zakład miłosierdzia, cieszący się długoletniem zaufaniem ludności, oraz katedrę, co dało świadectwo uczuć religijnych ludu. Zresztą Polacy tak dalece zamknęli się w domach, że wszystkie hotele polskie były próżne, tak samo, jak restauracye. Dopiero po festynach wrócił ruch zwykły ze strony polskiej; nawet nad ciekawością przemogło poczucie godności narodowej; dopiero po wyjeździe cesarza oglądano wspaniałe dekoracye, kosztem magistratu i bogatych niemieckich właścicieli i lokatorów urządzone.

W dalszym ciągu konstatuje autor tego listu, że chociażby doradcy cesarza nie wiedzieć jak silili się, aby zataić przed nim prawdziwy stan umysłów ludności polskiej, to jednak były takie szczegóły, które nie mogły ujść uwadze cesarza. Takim szczegółem np. było to, że na przedstawieniu dam z całego Księstwa poznańskiego stawiła się tylko jedna dama polska, albo, że wśród kilkuset osób zaproszonych na obiad galowy, znalazło się tylko czterech polskich szambelanów i kamerjunkrów.

W końcu podnosi autor doniosłe znaczenie postępku wicemarszałka sejmu prowincyonalnego hr. Teodora Żółtowskiego, który — jak wiadomo — usunął się od wszelkiego udziału w uroczystościach, pomimo, iż piastował godność dworską. W tej mierze czytamy co następuje:

Mąż zasad tak konsekwentnych i lojalnych, wypróbowany w życiu publicznem, usuwający się od wszelkich politycznych demonstracyj, — niemałą musiał z pewnością stoczyć walkę wewnętrzną, aby na taki krok się zdobyć. Zrozumiał jednakże wraz z całem społeczeństwem, że nie podobna członkowi narodu udawać radości, gdy serce kraje się z boleści. Wprawdzie w Grodnie przy ostatnim podziale polskim tańczyli i bawili się senatorowie; ale były to symptomata zgnilizny, poprzedzającej upadek narodu. Dzięki Bogu, że u nas w miarę coraz boleśniejszego położenia dojrzewają charaktery z męską odwagą. Należy przypuszczać, że i na dworze berlińskim przy spokojnej rozwadze będzie oceniona wartość przekonań i charakterów, bo w danych chwilach porządek społeczny i monarchia na takich ludziach bezpieczniej oprzeć się może, niż na tych, którzy kręcą się jak chorągiewka za zmianą wiatru.

Teodor hr. Żółtowski został pozbawiony urzędu i godności szambelana, co było odrazu do przewidzenia. Mógł sam to uczynić poprzednio, ale zapewne właśnie dlatego uczynić tego nie chciał, aby krok ten z jego strony nie był uważany za nową demonstracyę. O siłę narodu obawiać się nie potrzeba, póki będą charaktery, działające tylko z czystych narodowych pobudek. Za ten przykład całe nasze społeczeństwo dochowa wdzięczności hr. Teodorowi Żółtowskiemu i wszystkim członkom sejmu prowincyonalnego, których nazwiska już dobrze w sercach są zapisane.

Może pruscy mężowie stanu po tym przykładzie zastanowią się, czy można naród, — który

---

51)

BLANKA HALICKA.

Obok szczęścia

Powieść.

(Ciąg dalszy).

Odwrócił głowę i ujrzał matkę, pochyloną nad nim.

W oczach jej były łzy, a na ustach wyraz niezmiernej litości i słodyczy.

— Moje dziecko! Moje biedne dziecko! Chodź stąd, chodź! Cały dzień już tu siedzisz, to już jest po nad ludzkie siły! Chodź ze mną, moje dziecko!

— Mamo! Moja mamo!

I silny, trzydziestoletni mężczyzna wybuchnął straszliwym, szalonym płaczem, wydzierającym się gdzieś z samych głębin serca, i jak małe dziecko, u matki szukające pociechy, przygarnął się do kolan siwej kobiety.

* * *

Panna Mizzi, jedna z najładniejszych śpiewaczek wiedeńskiego Karltheatru, wróciwszy przed chwilą z przedstawienia operetki „Opowieści Hoffmana", w której grała rolę lalki, i nie przebrawszy się nawet jeszcze z wdzięcznego kostyumu à la bébé, całego z białego, plisowanego atłasu i bufek tiulowych, przyjmowała w swem ślicznie urządzonem mieszkaniu towarzystwo nietyle liczne, ile wesołe i dobrane.

Były tam dwie jej koleżanki z teatru, Hiszpanka Inez, wspaniała brunetka o rysach kamei i ogromnych, wiecznie marzących oczach, przypominających aksamit czarny, znana ze swej prawdziwie zdumiewającej głupoty, która u dobrych jej znajomych przeszła już w przysłowie — i druga, drobna, szczupła, zgrabna jak kot, baletnica Kitty, szatynka z zadartym noskiem, nie mogąca mieć pretensyi do piękności, lecz świeża jak róża, żywa i pełna wdzięku.

Trzej panowie, jakby wykrojeni z żurnalu mód wiedeńskich; wszyscy trzej w doskonale skrojonych frakach, z białemi gardeniami w butonierce, wszyscy trzej zaopatrzeni w monokle i maleńkie, spiczaste wąsiki — na pierwszy rzut oka różnili się między sobą chyba tem tylko, że matka natura obdarzyła każdego z nich odmienną barwą włosów, jeden bowiem był blondyn, drugi szatyn, trzeci brunet.

Dopiero przy bliższem przyjrzeniu się ich osobom, można było dostrzedz, że blondyn jest już nieco zębem czasu dotknięty i trochę łysawy, szatyn ma maleńką skłonność do otyłości, a bruneta rysy fatalnie przypominają rasę semicką.

Dwaj pierwsi są zrujnowanymi paniczami, jeden hrabia, drugi baron, dobrze znani w zakulisowym wiedeńskim świecie, a brunet o wschodniej twarzy (chcąc wyrazić się grzecznie), jest synem milionowego bankiera, przechrzty, którego wyżej wspomniani młodzieńcy wprowadzają do tak zwanego „wyższego świata" i półświatka, a w zamian za to pożyczają od niego pieniędzy, których mu nigdy nie oddają, spijają szampana i zjadają smaczne kolacye na koszt jego, i ogrywają go w karty.

Wesołe towarzystwo przed chwilą właśnie wstało od kolacyi.

Stół jeszcze zastawiony, lśni się od sreber i kryształów, mieni się od różnobarwnych kwiatów, wśród których stoi cały szereg pustych już butelek szampana ze złoconemi główkami.

Łysawy blondyn przysiadł się do Mizzi, która ze swą typowo wiedeńską, białą i rumianą twarzą i jasnemi lokami ślicznie wygląda w białym stroju lalki — i zerkając na nią łakomie przez szkiełko monokla, sprzeciwia się jej w sposób, który niby ma być dowcipny.

— Cóż, Mizzi? Ten twój Gorwicz jakoś się nie pokazuje! Cóż to znaczy, że go dotąd nie ma? O nieba! Czyż byłoby możliwem, żeby puścił w trąbę naszą śliczną, apetyczną, niezrównaną Mizzi?

Wiedenka pokazała mu wszystkie zęby w uśmiechu.

— Siedź cicho, ty drabie, bo inaczej zapoznasz się z moimi paznokciami! Oczy ci wydrapię, „du frecher Kerl!"

O kilka kroków dalej, bankierowicz z garbatym nosem mizdrzył się do pięknej Inez, wspaniałej jak posąg, i zaledwo trochę więcej ubranej jak bywały starożytne posągi.

Aksamitna, gorąco różowa suknia, ze stanikiem niemożliwie wyciętym, z olbrzymim brylantowym księżycem u gorsu, oblepiona, wąska i długa, opina szczelnie jej przepyszne kształty.

Twarz jej ma zawsze ten sam wyraz spokojny, jakby rozmarzony, podczas gdy brunet pochyla się ku niej z błyszczącym wzrokiem i coś szepcze po cichu.

Swawolna Kitty, jeszcze weselsza niż zwykle, po wypiciu kilku szklanek szampana, kołysze się gwałtownie w wielkiem biegunowem krześle, i śpiewa cienkim sopranikiem:

„Ein Spatzenmännchen liebte
Ein Spatzenweibchen heiss...."

Okrągły szatyn przysuwa się do niej, porusza żywo jej krzesłem, zmuszając ją do huśtania się coraz mocniej.

Baletnica przechyla się wtył i podnosi drobne nóżki w górę.

Szatyn wygląda jak roześmiany satyr i pyta ją:

— Może mocniej jeszcze? Może jeszcze wyżej?

Kitty wybucha śmiechem.

— Jeżeli ci to przyjemność robi.... — i krzesło przechyla się coraz mocniej, a krótka błękitna sukienka fruwa w powietrzu, odsłaniając zgrabne kształty nóżek właścicielki.

Gdy tak bawią się wesoło, słychać dzwonek w przedpokoju i wchodzi Gorwicz w rozpiętym płaszczu i cylindrze przekrzywionym na głowie.

Wchodząc do pokoju, rzuca jedno i drugie na kanapę, ponad głową wesołego szatyna, podziwiającego wdzięki panny Kitty.

Mizzi z okrzykiem podbiega ku niemu.

— A to ładnie! Już dawno po kolacyi! Zasłużyłeś na porządną burę, „mein Schatz!"

I śmiejąc się, uderza go w policzek dużą, białą ręką.

Gorwicz chwyta ją wpół, nachyla przemocą ku sobie i całuje w same usta. Mizzi wydziera się, niby nadąsana, reszta towarzystwa daje głośne brawo.

Gorwicz wyjmuje z kieszeni czerwone aksamitne pudełko, otwiera je i pokazuje ładnej blondynce wspaniałą broszkę z pereł i brylantów.

— To dla mnie? Jakiś ty poczciwy, jaki kochany!

Podskoczywszy z radości, zarzuca mu ręce na szyję.

— Słuchajcie dzieci — odzywa się Gorwicz z miną mającą oznaczać parodyę smutku — mam oznajmić wam wielce bolesną nowinę — przed godziną wyczytałem w gazecie, żem został szczęśliwym wdowcem. Małżonka moja, która przed rokiem niespełna ozdobiła skronie moje orderem, który noszą tysiące i miliony mężów na tym padole płaczu, i potem w dodatku rzuciła mi na łeb zapaloną lampę, wskutek których dwóch drobnych okoliczności musiałem się z nią, choć z bolem serca, rozstać na zawsze, obecnie w kwiecie młodości i wdzięku przeniosła się do wieczności. Tą więc smutną nowiną dzielę się z wami, dzieci lube i wzywam, abyście płakali wraz ze mną, a ta cudna istota, której łzy chcę otrzeć tą oto brylantową broszką, niech się stara mnie pocieszyć! Dixi.

Krótką chwilę panowała cisza.

Tylko Kitty mruknęła do okrągłego szatyna:

— Przecież z tego Gorwicza bydlę jakich mało. „Pfui", nie lubię słuchać takich rzeczy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

tak, jak posłowie sejmu prowincyonalnego, a za nimi wszyscy, twardo stanął nie do walki, ale do zachowania godności i odrębności narodowej, o której cesarz wspomniał, — złamać i zniszczyć? Wszystkie dotychczasowe środki, w tym celu podjęte, wzmocniły tylko siłę odporną, — i to na podstawie legalnej. Naród, który chce żyć, nie da się zabić; popełnić może tylko samobójstwo, gdyby chciał wejść na drogę anarchii i rewolucyi politycznej. Wówczas bowiem dopiero rozstrzygają nie moralne, ale materyalne siły.

Antiżydowskie rozruchy w Częstochowie.

Czas otrzymał następującą relacyę o tych rozruchach:

W ubiegły czwartek, dnia 11 b. m., na Starym Rynku, jednym z dwóch targowych placów Częstochowy, przed straganiarzem żydem, sprzedającym owoce, pojawiła się kobieta z ludu Teofila Krukowa, narzekając, że ją przekupień oszukał. Mąż jej jest robotnikiem w fabryce; płacę ma niewielką a rodzinę liczną; zatem kobieta zarabiała ze swojej strony, sprzedając robotnikom, idącym do fabryki, owoce, kupowane koszykami u „hurtowników" częstochowskich na Starym Rynku. We czwartek wcześnie rano kupiła kosz śliwek i zapłaciwszy zaniosła do domu. Przekonała się tam, że tylko górna warstwa owoców była dobrą, reszta zaś towaru, prawie cały, była zepsutą i całkiem nie do użycia. Około godziny 9tej rano przyszła więc, z dzieckiem u piersi, na targ, a wyrzekając na krzywdę i złorzecząc przekupniowi, żądała wreszcie, domagając się zwrotu pieniędzy. Przekupień, (nazwiska nie zdołałem stwierdzić), odmówił. Wszczęła się sprzeczka, w której zaczęła brać udział coraz większa gromada innych straganiarzy, również żydów. Słowa padały coraz gorętsze, aż wreszcie przyszło do czynów.

Kto je rozpoczął, niewiadomo — dość, że początkowe szarpanie przemieniło się w bijatykę i w jednej chwili obalono Krukowa wraz z niemowlęciem na ziemię. Roznamiętnieni przeciwnicy kopali ją nogami, okładali pięściami i kijami tak, że wkrótce straciła przytomność. Nadszedł tymczasem podoficer policyi, i sw. rewirowy i uwierzywszy z początku tłumowi straganiarzy, że leżąca kobieta jest pijaną, wzywał ją do powstania, a nawet — jak mówią niektórzy — kopnął nogą. Widząc jednak, że mimo to Krukowa nie porusza się, dał wiarę kilku chłopom i chłopakom miejskim, którzy zbiegli się pod koniec bijatyki, i przywoławszy dorożkę, odwiózł nieprzytomną do szpitala. Lekarz stwierdził, że kobieta pokryta jest sińcami i ranami, a prócz tego ma naruszony staw ramieniowy, złamany obojczyk, wewnętrzne organa poważnie uszkodzone, a zwłaszcza dolną część ciała po barbarzyńsku potłuczoną nogami i kijami. Wypadkiem, którego nazwać można cudownym, dziecko przez cały czas ssało pierś matki i nie poniosło żadnego szwanku.

Zaledwie odjechała dorożka z rewirowym i pobitą, na miejscu wypadku zaczęły się rozgrywać gwałtowniejsze sceny. Gromadka chłopów i chłopaków, którzy widzieli, co zaszło przed chwilą, zaczęła wykrzykiwać na żydów, opowiadać rzecz głośno i innych zwoływać. Tłum zbierał się coraz szybciej i w kilka minut potem na Starym Rynku było już około 200 gawiedzi, przeważnie robotników bez zajęcia, których, wobec obecnego przesilenia w przemyśle, nie brak teraz w Częstochowie. Wzburzenie wzrastało, pogróżki padały coraz częściej; każda odpowiedź przeciwnej strony wywoływała silniejszy wybuch rozdrażnienia tłumu, aż wreszcie padło z jego środka hasło: „Nie dajmy swoich! Bić żydów! Na stragany"! W jednej chwili, co bliższe kosze z owocami, były powywracane; stragany, sklecone z cienkich desek i drążków, zaczęły trzeszczeć pod rękami napastników; połamane kawałki poniszczonych straganów, posłużyły za narzędzia do burzenia dalszych i za broń przeciw tym nielicznym przekupniom, którzy próbowali stanąć w obronie swego dobytku. Reszta straganiarzy z pośpiechem porzuciła wszystko i z krzykiem rozbiegła się, uciekając do domów w przyległych ulicach. Tłum mógł swobodnie prowadzić dzieło zniszczenia, — i po jakiejś półgodzinie cały Rynek, tak obszerny, że kilkaset kroków w obwodzie ma, pokryty był zwaliskami podruzgotanych straganów, rozbitych beczek itd.

O g. 10 od strony uliczki, łączącej Stary Rynek z Nowym, zabrzmiał okrzyk: „Policya idzie!" Istotnie, nadciągał pośpiesznie oddziałek złożony z kilkunastu stójkowych. Tłum rozproszył się natychmiast, i gdy policya wkroczyła na Rynek, mogła tylko stwierdzić *fait accompli*, nie widząc nawet zdaleka sprawców. Ci rozbiegli się po mieście w grupach po kilku i kilkunastu, wydając okrzyki i nawoływania: „Żydzi mordują naszych! Zabili kobietę!" itp. — Tu i ówdzie pękła w oknie mieszkania lub sklepu żydowskiego szyba, rzucona kamieniem lub jabłkiem, zabranym ze straganu. Na ogół nie dopuszczały się gromady gwałtów; budziły tylko niepokój i podniecenie w całem mieście. — Były to jakby wici wojenne, jakby wzywanie do walki — naturalnie całkiem bez planu powziętego z góry i bez żadnej organizacyi. W tumultach tych brali udział głównie ulicznicy i w ogóle ludzie bez zajęcia. Potem rozeszli się po fabrykach, w których pracują, i tam zaczęli opowiadać cały przebieg porannych wypadków, nadając im, jak zwykle bywa w takich razach, rozmiary, przekraczające o wiele rzeczywistość.

* * *

Zaalarmowani w ten sposób robotnicy, gdy tylko nastała przerwa obiadowa, wysypali się z fabryk i śpiesznie podążyli na Stary i Nowy Rynek.

W kwadrans po 12tej zebrało się ich tam około tysiąca, według innych dwa razy tyle. Bez żadnych wstępów rzucili się na stragany na Nowym Rynku, za którymi siedzieli właściciele-żydzi, nie przeczuwając, aby ranny napad mógł się powtórzyć. Robotnicy, roznamiętnieni porannymi opowiadaniami i omawianiami, napadali znacznie gwałtowniej. Straganiarzy wypędzali, przekupniów bili, tych, którzy nie zdołali lub nie chcieli uciec. Po straganach przyszła kolej na sklepy żydowskie, które w tej dzielnicy znajdują się prawie w każdym domu. Rozbijano szyby, wyrywano szyldy, łamano futryny, okiennice i drewniane zasuwy. Do wewnątrz nie wpadano nigdzie, poprzestając na niszczeniu zewnętrznem. Przychodziło to tem łatwiej, że ... nie przeszkadzały. Nigdzie ekscedenci nie napotkali na opór, policya nie interweniowała nigdzie, nie wiadomo, czy z niedbalstwa, czy rozmyślnie, a nawet jest wiele osób, zapewniających z głębokiem przekonaniem, jakoby widziano stójkowych, przypatrujących się gwałtom... z uśmiechem sympatyi.

Robotnicy przenieśli się wkrótce z rynków na sąsiednie ulice, rozbijając szyby, drzwi i okna. Najwięcej ucierpiały lokale przy ulicy Krakowskiej. Między godziną pierwszą a w pół do drugiej, gdy zaczęły się kolejno odzywać syreny fabryczne, zwołujące robotników do pracy, tłum zaczął się rozchodzić. Większość śpieszyła do zajęcia, jak się później przekonano, umawiając się o ponowne zejście się wieczorem na dalszą „hulankę". W mieście nastał chwilowy spokój; poszkodowani, przerażeni i zrozpaczeni, zaczęli jako tako naprawiać szkody w oknach i drzwiach, omawiać możliwość dalszych napaści. Pocieszano się, że przecież policya wystąpi czynnie, że wezwany policmajster pewnie przyjedzie, że w razie potrzeby wystąpi wojsko, wprawdzie nieliczne z powodu wymarszu na manewry, ale bądź co bądź liczące około 60 głów. Policmajster przyjechał istotnie popołudniu, a oprócz niego przyjechał pomocnik gubernatora z Piotrkowa.

* * *

Po ukończeniu robót w fabrykach i warsztatach o godz. 7 tłum zaczął się zbierać na Nowym Rynku. Za chwilę rozegrały się sceny straszne, przejmujące grozą tych, którzy byli ich świadkami. By je zrozumieć, potrzebną jest znajomość miejsca. Nowy Rynek jest prostokątnym placem, większym nieco od Starego; oba boki dłuższe stanowią domy żydowskie, piętrowe, ze sklepami na parterze, podobnie jak jeden bok krótszy, w którego środku rozpoczyna się długa, główna arterya Częstochowy, ulica N. Panny Maryi, ciągnąca się przez całe miasto, aż do stóp Jasnej Góry. Naprzeciw tej ulicy, na przeciwległym krótszym boku Rynku, wznosi się fara, stary kościół parafialny, otoczony cmentarzem, zarosłym drzewami; do kościoła przytyka piętrowa plebania. Cały cmentarz jest wzniesiony nieco ponad poziom Rynku, od którego dzielą go wysokie sztachety.

Na cmentarzu zebrała się przed wieczorem grupa kilkudziesięciu osób, przeważnie z inteligencyi; wszystkich sprowadziła tu ciekawość, czy robotnicy powtórzą swe południowe wybryki, o czem przebąkiwano tu i owdzie po mieście. Nikt naturalnie nie przypuszczał, co się tu dziać miało. Wszyscy myśleli, że bezpiecznie będą mogli stąd obserwować wszystko, co się dzieje na placu; nikt nie mógł sądzić, że umieścił się na miejscu najniebezpieczniejszem, na którem najwięcej krwi popłynie.

Po godzinie 7 wieczorem sytuacya przedstawiała się zatem tak, że pod kościołem, ponad placem, stało kilkadziesiąt osób, nie biorących udziału w rozruchach, nieco poniżej zaś, na Rynku, zaczęły się kupić gromady robotników, rzemieślników, łobuzów kilkunastoletnich, nawet nieco kobiet i dzieci. Łatwo można było zauważyć, że zbierający się tłum jest znacznie więcej wzburzony, niż był w południe. Może robotnicy istotnie wobec bezczynności władz uwierzyli, że policya „pozwala bić żydów", może podniecająco działały półdniowe rozmowy i wyczekiwanie — dość, że zaledwie na placu zgromadziło się kilkadziesiąt ludzi, z wielkim krzykiem rzucili się na domy żydowskie.

Tym razem nie poprzestali na łamaniu drzwi i okien, na zrywaniu szyldów. Zaczęli wpadać do sklepów, wywracać lady i szafy sklepowe, niszczyć i wyrzucać na ulicę towary; rozbijano beczki z naftą i oblewano niemi wiktuały, rozsypywano korzenie i mąkę na ulice, szarpano tkaniny i t. d. Jak łatwo przypuścić, nie brakło takich, którzy przy tej sposobności chcieli się obłowić i rabowali sklepy, napychając kieszenie i zanadrza, czem kto mógł. Wszystko to rozgrywało się przy akompaniamencie piekielnego wrzasku; plac zapełnił się wkrótce kilkotysięcznym tłumem. Ci, co się nie mogli dorwać do tej pracy niszczenia, rozszerzyli jej teren na Stary Rynek i ulice przyległe.

Tymczasem wieczór zapadł i było już prawie całkiem ciemno, gdy od ulicy N. P. Maryi dała się słyszeć trąbka wojskowa i stąpania szybko maszerujących żołnierzy. Na ten głos ekscedenci zaczęli szybko wypadać z rabowanych sklepów; tłum zaczął ginąć w przyległych ulicach, a na placu między połamanymi straganami pozostało co najwyżej paręset najbardziej podnieconych ekscedentów, a dalej, na cmentarzu kościelnym kilkudziesięciu ciekawych.

Po kilku minutach wkroczył na plac oddział około 30 żołnierzy z 7 pułku strzelców pod dowództwem podporucznika Liwotina. Równocześnie z oddziałem przyjechał także zastępca gubernatora i policmajster. Wojsko posunęło się naprzód i doszło mniejwięcej do połowy placu, gdzie stanęło z nastawionymi bagnetami naprzeciw gromady rozjątrzonych robotników. Widzowie pod kościołem nie mogli już nic widzieć z powodu ciemności, słyszano tylko jakiś głos donośny, wzywający do rozejścia się kilku dosadnymi, rosyjskimi wyrazami. Kilkusłowny apel, poparty paru przezwiskami, kończył się *budu strielat*.

Na to wszczął się znowu hałas w milczącej przez chwilę gromadzie; podobno poleciało parę kamieni na wojsko, podobno paru ludzi chwyciło kilku żołnierzy za bagnety. Jak się rzecz miała, tego nikt nie wie i prawdopodobnie nikt wiedzieć nie będzie. Tyle wiadomo, że po nad hałas tłumu wzbiła się komenda oficera: „Dziesięć kroków w tył! Nabijaj" — i nastał tragiczny punkt kulminacyjny dnia.

Na komendę dał się słyszeć tupot cofających się tyłem żołnierzy (by módz należycie przyłożyć broń do ramieni) i chrzęst odciąganych kurków, wkładanych naboi. Tłum, widocznie przyszedłszy do opamiętania, zaczął uciekać. Większość skoczyła na boki, kilkunastu w popłochu zawróciło i zaczęło pędzić ku kościołowi, pozostając przed frontem wojska, na linii strzałów. Przed kościołem stała nieruchomie grupa ludzi, osłupiałych, oszołomionych grozą chwili, nie mogących zrozumieć niebezpieczeństwa, bo nikt się nie ruszał z miejsca. Na cmentarz przez niedomknięte wrota wcisnęło się tylko jeszcze kilku ludzi z uciekającego tłumu. Nie trzeba dodawać, że cała scena, od chwili wkroczenia wojska na plac, trwała kilka minut.

Ucieczka tłumu nie wywarła żadnego wrażenia na bohaterskim oficerze. Zabrzmiała krótka, straszna komenda... błysnął czerwony rząd świateł... huk strzałów... W tej chwili parę okrzyków „O Jezu!" na placu i cmentarzu, potem znowu salwa, potem trzecia i czwarta, jedna po drugiej. Na placu i przed cmentarzem jęków było coraz więcej, widzowie w panicznym popłochu uciekali w tył, kryjąc się za przymurki kościoła, w sieniach probostwa. W ciemności wiele osób upadło na ziemię, potknąwszy się. To może niejednego ocaliło od kul karabinowych, które przelatywały z gwizdem nad niemi. Przez plac, między zwaliskami straganów, przesuwały się ukradkiem ciemne postacie uciekających, lżej rannych lub szczęśliwych, którzy uniknęli jednej ze 120 kul.

Po bitwie zawieszenie broni. Oddział strzelców stał cicho, ku przodowi wysunęło się kilka postaci: to urzędnicy policyi ze stójkowymi zaczęli liczyć ofiary i — nieść im pomoc. Skutki salw były straszne. Zabite na miejscu dwie osoby (obie na cmentarzu pod kościołem, z tych jedna ugodzona czterema kulami), rannych kilkanaście. Policya sprowadziła dorożki i odwiozła do szpitala zabitych i rannych, którzy pozostali na placu. Liczą, że co najmniej dziesięciu lżej rannych uszło w ciemnościach do domów, obawiając się śledztwa i odpowiedzialności. Zagadką jest i pozostanie dla wszystkich, jak strzelano, że tuż przed frontem, na placu, a więc na równym z oddziałem poziomie padło paru ludzi tylko, wszystkie zaś ofiary należały do spokojnych „widzów" pod kościołem, mimo, że się znajdowały po nad linią poziomo trzymanych karabinów, za sztachetami i za wysokimi stosami drewna z połamanych straganów. Być może, że wizery karabinów były źle nastawione, może żołnierze nie mogli mierzyć w ciemnościach i górowali?

Wystąpienie wojska nie przywróciło porządku — przeciwnie! Strzały słychać było naturalnie w całem mieście, najdonioślej w przyległych ulicach, gdzie tłumy od godziny rabowały i burzyły sklepy, mieszkania, nawet piwnice i strychy żydowskie. Odgłos salw wprawił tłumy we wściekłość, graniczącą z obłędem. Rozpoczęła się prawdziwa orgia. Rozbijano, niszczono, rabowano z przerażającą szybkością. Mówią, że niszczenie wielkich sklepów nie trwało dłużej, nad pół godziny.

Tłumy, oddaliwszy się od centrum rozruchów mogły sobie folgować do woli, bo nikt im nie stawał na przeszkodzie. Oddział wojska jakby oszołomiony tem, co sprawił na Rynku, nie ruszył się z miejsca i nikt go nie wysłał na patrole. Policya zajęta była przeważnie rannymi, pojedynczy stójkowi, stojący po ulicach, nie śmieli stawić oporu rozszalałej gawiedzi. Jeden ze stójkowych przyłapał na uboczu jakiegoś łobuza i prowadził go do aresztu; napotkała go gromada kilku ludzi, wyrwała aresztowanego, a policyanta pobiła kamieniami tak, że upadł na ziemię.

Gromady przeciągały ulicami, rabowały już tylko sklepy, odbijając pozapierane drzwi i okiennice. Mieszkaniom folgowano, wybijając tylko okna. Lokatorowie — chrześcijanie, wystawiali w oknach dla obrony obrazy, krzyże i posągi Matki Boskiej i Świętych, oświecając je lampami i świecami. Okna nieoświetlone gruchotane były bez pardonu. W kilku sklepach podpalono poniszczone sprzęty i towary, oblane naftą. Gdy tłum pociągnął dalej, domownikom udało się ugasić zarzewie. Na szczęście w jednem tylko miejscu płonęły ruchomości; dom uratowała straż pożarna. Gdyby nie to, mogłaby stanąć w ogniu cała dzielnica, zabudowana drewnianemi ruderami.

Od chwili strzałów trwały te zaburzenia na kilkunastu punktach dwie godziny, do godz. 10. Roznamiętnienie tłumów ustępowało zwolna, a natomiast opanowała je jakaś straszna, spokojna zawziętość. Na przedmieściu Częstochówka, tuż pod Jasną Górą, tłum, który bocznemi ulicami przyciągnął ze Starej Częstochowy, zaczął niszczyć sklepy żydowskie. Kilku OO. Paulinów, wezwanych przez żydów, pośpieszyło na dół, zaczęło uspokajać, przekonywać, zaklinać. Ludzie z szacunkiem pozdejmowali czapki, wysłuchali słów kapłańskich, ucałowali księży w ręce, oddalili się i zaczęli — rozbijać na nowo.

* * *

Około 10 zaczęło się uspakajać. Przyczyniło się niewątpliwie do tego, prócz zmęczenia, także i to, że policya zaczęła wreszcie znowu działać, porozsyłała patrole po kilku żołnierzy po wszystkich rabowanych ulicach. Widok broni, pamięć tego, co zaszło na Nowym Rynku, odwodziły ludzi od dalszych ekscesów. Powoli rozchodzili się do domów i o godzinie 11 spokój zapanował nad strwożonem miastem.

Nazajutrz przybyła do Częstochowy sotnia kozaków i dwie czy trzy roty piechoty. Patrole przeciągały po mieście, tak jak i dni następnych. Spokoju nigdzie już nie zakłócono.

Jakże przedstawia się bilans tego dnia strasznego? Zabitych dwoje ludzi, oboje pod kościołem. Policya uprzątnęła ich zwłoki natychmiast; w nocy zrobiono w szpitalu sekcyę i spisano protokół, a wczesnym rankiem w tajemnicy wywieziono je na cmentarz. Niewiadomo, jak ci ludzie się nazywali; jeden był to jakiś starszy robotnik, drugi młodzieniec, sądząc z ubrania, należący do warstwy wykształceńszych. Rannych ciężko jest czterech: Józef Jędrzejkowicz, 23-letni robotnik fabryczny, ma zdruzgotane biodro; Michał Kacpera, 35-letni robotnik, żonaty, ojciec trojga dzieci, ugodzony został kulą w brzuch, tak, że ma rozdartą otrzewnę na znacznej przestrzeni; prawdopodobnie nie uda się go uratować. 40-letni Józef Starczewski, ojciec sześciorga dzieci, ma rękę i ramię zdruzgotane na drobne kawałki. Jeżeli uda się go ocalić, co jest wątpliwem, pozostanie kaleką, niezdolnym do pracy. Czwarty, 24-letni robotnik, Teresiński, ma podobno przestrzelone płuca. Kilku lżej rannych wypuszczono już ze szpitala; około dziesięciu kryje się po domach.

Śledztwo rozpoczęło się w sobotę. Pierwsze badania prowadził gubernator piotrkowski, który bawił tu do poniedziałku. Śledztwo prowadzi pomocnik prokuratora Izby sądowej warszawskiej, prokurator sądu okręgowego w Piotrkowie, sędzia śledczy „dla ważniejszych spraw" z Warszawy i dwóch sędziów śledczych częstochowskich. Aresztowano ogółem 140 osób, z których 18 wypuszczono wczoraj.

Z izby sądowej.

(*Skutki romansów z żydówką*).

Lwów 18 września.

Przed zwykłym trybunałem karnym rozpoczęła się wczoraj rozprawa przeciw Leibie Sellerowi, szynkarzowi w Klebanach i jego dzieciom Tewli i Herszowi, podejrzanym o zabójstwo niejakiego Jana Kolbucha.

Akt oskarżenia przedstawia sprawę tak:

Jan Kolbuch często przesiadywał w karczmie u Sellerów, a przed ludźmi opowiadał, że córka Lejby, Laja, ma kochanka, a on ułatwia im schadzki i za to dostaje od Lai pieniądze, tytoń i trunki, a opowiadał także, że to on sam ma stosunek miłosny z Lają i z tego tytułu podarunki od niej otrzymuje. Jak właściwie rzecz się miała, śledztwo sprawdzić nie zdołało. To tylko jest pewnem, że Laja obdarowywała Kolbucha, że ją z nim często widywano i że z tego powodu przychodziło do scysyi między Kolbuchem a rodziną Lai, gdyż Sellerowie niechętnym okiem patrzyli na Kolbucha już choćby tylko ze względu na materyalną stronę tego jakiegoś stosunku z Lają.

Dnia 11 lutego 1902 r. wieczorem było w karczmie Sellerów więcej ludzi, a około godziny 7 pozostał już tylko Jan Kolbuch i Karp Kleban, cała zaś rodzina Sellerów była w domu. Kolbuch, który w ostatnich czasach mówił, że popadł w niełaskę u Lai, począł się wobec Karpa Klebana skarżyć, że przedtem miewał pieniądze, a teraz już ich niema, przyczem dodał, że tylko przypadkiem znalazł w stodole Sellerów coś około 60 hl.

Na te słowa Kolbucha powychodzili zaraz Sellerowie z alkierza i widocznie podejrzywając, iż owych 60 hal. Kolbuch znów od Laji wyłudził, przystąpili do siedzącego na ławce Kolbucha i poczęli go natarczywie wypytywać, gdzie znalazł te pieniądze, poczem najpierw Tewel Seller uderzył Kolbucha ręką w twarz, a następnie tak Tewel jakoteż Hersch zwalili Kolbucha na ziemię i poczęli go bić. W karczmie powstało zamięszanie, Karp Kleban usiłował stanąć w obronie Kolbucha, lecz Moses Seller wytrącił go przemocą za drzwi. Znalazłszy się na dworze, zdołał Kleban przez zapocone okno karczmy rozróżnić tylko, że ktoś leży na ziemi a nad nim wymachuje rękami kilku ludzi, równocześnie zaś słyszał rozpaczliwy głos Kolbucha: „Leibusienenko, tatuneńko, daruj meni żytie" i odgłosy zadawanych mu razów. Strachem zdjęty oddalił się Kleban szybko z pod karczmy, a przystanąwszy słyszał jeszcze niewyraźne odgłosy, po pewnym czasie jednak zobaczywszy Tewla Sellera wychodzącego z karczmy, uciekł Kleban ku wsi.

Później, wieczorem i w nocy kilku ludzi przechodząc drogą po pod karczmę, słyszeli ze stodoły Sellerów jakieś jęki. Na drugi dzień rano znaleziono Kolbucha nieżywego z połamanemi żebrami w parowie nad potokiem po drugiej stronie drogi niedaleko stodoły Sellerów. Ponieważ na podstawie wyników śledztwa nie da to się oznaczyć, kto z napastników zadał Kolbuchowi śmiertelne uszkodzenia, przeto prokuratorya oskarżyła obwinionych tylko o zbrodnię ciężkiego uszkodzenia ciała.

Obwinieni wypierają się wszelkiej winy, twierdząc, że rzekomy naoczny świadek zajścia Karp Kleban, kłamie. Plamy krwi znalezione podczas śledztwa w karczmie, wytłómaczają tem, że Tewel Seller cierpi na krwiotoki z nosa, i że to on widocznie tak krwią obryzgał „bankbetel", na którym spał i ścianę.

Drugą poszlaką, przemawiającą zwłaszcza przeciw Tewlowi Sellerowi jest to, że Tewel ma złamany palec widocznie wskutek bójki z Kolbuchem; on sam jednak twierdzi, że palec ma złamany już od 5 lat. Około takich poszlak obraca się rozprawa, która co do treści nie przedstawia wiele urozmaicenia, interesującem jest tylko zachowanie się Sellerów, tak oskarżonych jak i reszty rodziny, występującej w roli świadków niezaprzysiężonych. Wszyscy naturalnie bronią się, przeczą i kręcą, ale ponieważ kłamstwa ich zbyt jaskrawo na wierzch wychodzą, więc sprawia to nieco komiczne wrażenie.

Wyrok zapadnie jutro.

* * *

Tarnów 16 września.

(*Zbrodnia zabójstwa*).

Przed tutejszym sądem przysięgłych w dniu 10 bm. stawał Wojciech Gawron, włościanin z Buchcic koło Tuchowa, lat 37, oskarżony o zbrodnię zabójstwa. Akt oskarżenia przedstawia sprawę następująco: W maju br. zmarł ojciec Gawrona; zostawił on testament, według którego rozdzielono grunta między rodzeństwo. Podziałem tym czuł się Wojciech pokrzywdzony i polecił swemu pastuchowi paść bydło na pastwisku matki. Z tego powodu przychodziło często między matką a synem do kłótni, a kilka razy Wojciech obił matkę. W obronie jej stanęła raz 20 letnia córka, Katarzyna, która usiłowała krowę brata spędzić z pastwiska matki. Rozgniewany tem Wojciech, podjął z ziemi ciężki drąg i uderzył nim siostrę silnie w głowę. Na trzeci dzień po tem zmarła Katarzyna wskutek pęknięcia czaszki.

Przed sądem tłómaczył się oskarżony, że uderzył siostrę przypadkiem. Jednak czterech naocznych świadków zeznało zupełnie zgodnie z aktem oskarżenia. Przysięgli potwierdzili wszystkimi głosami pytanie w kierunku zbrodni zabójstwa, wobec czego trybunał skazał Gawrona na trzy lata ciężkiego więzienia.

* * *

Tarnopol 18 września.

(*Rozprawy strejkowe*).

Odbywają się tu wciąż nowe rozprawy strejkowe, które się kończą już to uwolnieniem chłopów, już to skazaniem ich na więzienie lub areszt za zbiegowisko, opór władzy, wymuszenie itp. Jedną z ciekawszych była rozprawa przeciw 16 chłopom z Koszlak. Chłopi ci sami nie urządzali strejku, ale wmięszali się do strejku w Hnilicach. Mianowicie, gdy w Hnilicach miejscowi robotnicy nie chcieli stanąć do pracy za dotychczasową cenę, posłano po robotników do Pelczyniec i Prusowiec, ale nikt z tych wsi nie chciał przybyć do Hnilic, uważano bowiem psucie strejku za rzecz i niehonorową i niebezpieczną. Dopiero w Tokach znalazło się 10 robotników, którzy się zdecydowali pojechać do Hnilic. Do sprowadzenia ich użyto pięć fur: na pierwszej jechali porucznik piechoty Dew i żandarm, na drugiej robotnicy, na trzeciej pluton piechoty por. Dewa, mający osłonić robotni ów od napaści. Ale gdy przejeżdżali przez Koszlaki, tamtejsi włościanie, sprzyjający strejkowi hnilickiemu, wybiegli z chat na drogę i zaczęli grozić tak robotnikom, jak i żołnierzom. Skutek tych gróźb był taki, że kiedy na końcu wsi fury otaczane zewsząd gromadami chłopów wreszcie zatrzymały się, na drugim wozie nie było już ani jednego z Toczan, bo wszyscy po jednemu z fury pozłazili i pouciekali. Mimo to Koszlaczanie jeszcze nie byli kontenci i przybrali wobec wojska tak groźną postawę, że porucznik Dew z trudem przedarłszy się przez ciżbę wszedł ze swymi żołnierzami na pagórek i na tem obronnem stanowisku wytrzymywał oblężenie. Kilku najhałaśliwszych chłopów, którzy najbliżej stali, odcięto zręcznym manewrem od tłumu i wzięto ich w środek wojska, ale to tylko powiększyło zaciętość Koszlaczan, na szczęście w tej krytycznej chwili nadeszły z Hnilic jeszcze dwa plutony wojska z pomocą i rozpędziły chłopów.

Z obwinionych jednego skazano na 2, a siedmiu na półtora miesiąca więzienia, czterech na 2 tygodnie aresztu, a czterech uwolniono.

Rozprawa przeciw trzem chłopom z Siekierzyniec była ciekawą z tego powodu, iż stroną poszkodowaną przez strejkujących byli chłopi. Rzecz się miała tak, że podczas strejku w Siekierzyńcach Zofia Bordejna, Dmytro Kaszczyszyn i Iwan Pisnyj nie przystali do strejku, lecz będąc ubogimi, chcieli zapracować na chleb powszedni i szli na zarobek do dworu. Dnia 29 lipca wieczorem wrócił Dmytro Haszczyszyn z roboty do domu, napełniony obawą o swoje mienie z powodu pogłosek, że chaty „chruniów", którzy chodzą do dworu, będzie się podpalać. Tknięty przeczuciem, zaczaił się Kaszczyszyn koło swego obejścia. Około północy posłyszał szelest i zobaczył na swojem podwórzu trzech ludzi: Szewczuka, Łojka i Hawryluka, którzy na drzwiach jego chaty przylepili jakąś kartkę i odeszli. Na kartce tej była wypisana groźba śmierci dla Kaszczyszyna, jeżeli pójdzie żąć do dworu, tudzież groźba zniszczenia mu kukurudzy, a dla energiczniejszego poparcia tej groźby jakiś domorosły rysownik namalował na tej kartce dwie ludzkie postacie: jedną z kosturem, a drugą z siekierą.

Tej samej nocy przylepiono taką samą kartkę na drzwiach Zofii Bordejny i Iwana Pisnego, na których też natychmiast wykonano jedną część egzekucyi, tj. zniszczenie pól. Nieznani szkodnicy wtargnęli do ogrodu Bordejnej, wydeptali cały łan konopi, wyrwali 78 główek kapusty i 7 zagonów kartofli, tudzież zrządzili inne szkody Także i u Pisnego wytłuczono wszystkie konopie.

Trybunał uwolnił oskarżonych od winy, gdyż nie można było skonstatować, czy to oni właśnie wyrządzili owe szkody w konopiach, kapuście itd., ale sam fakt złośliwego uszkodzenia cudzej własności był niewątpliwy, a rozlepianie kartek z pogróżkami świadczyło o tem, że strejkujących nauczono organizować u siebie jakieś tajne komitety wykonawcze.

KRONIKA.

Lwów 18 września.

Bunt więźniów we Lwowie. W uzupełnieniu wczorajszej naszej notatki o buncie więźniów w Zakładzie karnym przy ul. Kazimierzowskiej podajemy relacyę urzędową: W sobotę przed południem jeden z więźniów Zakładu, nazwiskiem Mandziak, przystawiony do kancelaryi więziennej do raportu, uderzył w obecności dyrektora Zakładu, p. Podczaszyńskiego, dozorcę więziennego z nienacka w twarz. Za przestępstwo to został w drodze dyscyplinarnej skazany na ciemnicę z twardem łożem. Wieść o ukaraniu Mandziaka lotem błyskawicy w niewytłómaczony na razie sposób rozniosła się po wszystkich celach więziennych, wzniecając w umysłach więźniów wzburzenie, objawiające się w pomrukach, tajnych naradach i odgrażaniu się. Wśród takiej atmosfery minęła niedziela, poniedziałek i wtorek. Dyrekcya Zakładu karnego nie przywiązywała do tego zbyt wielkiej wagi. Aż oto we środę, gdy kilkudziesięciu więźniów zgromadzonych było w sali szkolnej, powstał nagle około godziny 10 przed południem w czasie odbywającej się tam właśnie nauki religii, piekielny hałas, nad którym górowały słowa: „Nie bij!" (w narzeczu złodziejskiem znaczy „bij"). Hasło to udzieliło się wkrótce całemu zakładowi. Z poza krat okien więziennych wychyliły się głowy więźniów, a ogłuszające krzyki i wołania: „Nie bij!" rozdzierały powietrze. Równocześnie stukilkudziesięciu więźniów zatrudnionych w warsztatach więziennych, znajdujących się na II. piętrze Zakładu, uzbrojonych w rozmaite narzędzia rzemieślnicze, poczęło dobywać się z zamkniętych od zewnątrz sal na kurytarze. Kilkanaście zamków i kłódek, któremi były opatrzone drzwi sali, pękły pod naporem młotów i siekier, a cały szereg szyb i ram okien, wychodzących na ulicę Karną i Kazimierzowską spadł z łoskotem i brzękiem na bruk ulicy.

Następnie komunikat urzędowy opowiada rzeczy już znane, jak to, że sprowadzono wojsko, że przy jego pomocy uśmierzono bunt, przywódzców ruchawki zakuto w kajdany i osadzono w celach, a wreszcie, że wszystkie straty, jakie skarb państwa poniósł przez to, że więźniowie poniszczyli drzwi i okna, potłukli szyby i połamali narzędzia pracy, pokryte zostaną z zarobionych przez nich pieniędzy.

Konkursa ogłaszają: Prezydyum sądu wyższego w Krakowie na dwie posady adyunktów sądowych w Krakowie i Radomyślu. Podania do 6 października br. — Prezydyum wyższego sądu krajowego we Lwowie na posadę naczelnika kancelaryi przy sądzie krajowym we Lwowie. Podania do 10 października br. — Wydział Rady powiatowej w Borszczowie na trzy stypendya po 240 K. rocznie z fundacyi jubileuszowej im. Franciszka Józefa I dla uczniów szkół zawodowych, seminaryów nauczycielskich, gimnazyów i szkół realnych, urodzonych w borszczowskim powiecie. Podania do 1 listopada br.

Sprzedaż Zaleszczyk. Obiega pogłoska, że dobra Zaleszczyki, własność śp. Seweryna br. Brunickiego, mają przejść w obce ręce.

Dyrekcya Filharmonii zawiadamia, że bilety zamówione na pierwsze trzy koncerty inauguracyjne, należy odebrać w kasie Filharmonii w dniach od 20 do 24 t. m. Bilety zamówione a nieodebrane w tym czasie, zostaną następnie sprzedane.

Z obyczajów pospólstwa lwowskiego. Przy ul. Słonecznej l. 3 w parterze odbywało się wesele Onufrego Dolisznia, stróża. Około 1 w nocy wpadło nagle kilkunastu ludzi z Antonim Urbanikiem, czeladnikiem murarskim, na czele; napastnicy pogasili światła, rozpoczęli bójkę z gośćmi weselnymi i obrabowali ich z zegarków, pugilaresów i innych kosztowności. Na dany znak wypadli na ulicę, obrzucili kamieniami dom, w którym odbywało się wesele, a następnie uciekli. Wczoraj aresztowała policya Urbanika. Wdrożono przeciw niemu śledztwo karne.

Wieczorek muzykalno-wokalny na rzecz szkoły polskiej w Schodnicy odbędzie się w Borysławiu w sobotę dnia 20 b. m. staraniem akademików, słuchaczy kursu wiertniczego.

Z teatru. P. Ludwik Solski, powróciwszy w tych dniach z urlopu, wystąpi po raz pierwszy w sobotę w „Dramacie Kaliny" w swej doskonałej roli starego Koryckiego, — oprócz tego p. Solski pracuje gorliwie nad wystawieniem „Krzyżaków", których premiera w przyszły czwartek. — Nad wystawieniem fantastyczno-burleskowej operetki „Świat na opak" pracuje gorliwie reżyser jej p. Lelewicz. Operetka ta otrzyma olśniewającą wystawę.

Koncert p. Maryi Kozłowskiej, który odbędzie się w niedzielę w sali Domu narodnego, budzi żywe zainteresowanie wśród muzykalnej publiczności Lwowa. Program jego jest nader obfity; znajdujemy w nim nazwiska kompozytorów przeważnie polskich. Wśród utworów obcych kompozytorów znajdujemy „Noc“ Rubinsteina i „Słowika“ Alabiewa, w którym koncertantka znajdzie wdzięczne pole do popisu swoją doskonałą koloraturą.

Wielką atrakcyą koncertu jest też współudział p. Ludomiry Dubiskiej, pianistki u nas jeszcze nieznanej. Po odbyciu studyów w Berlinie przybyła ona do Lwowa, gdzie objęła kurs fortepianowy w Instytucie muzycznym.

W szkole muzycznej M. Marek, obecnie Heleny Ottawowej, zostającej pod kierownictwem prof. Henryka Melcera-Szczawińskiego, nauka gry fortepianowej dzieli się na 3 kursy. Na kursach I i II udzielają nauki panie: Juraic, Kasparek, Szczycińska, Franke i Praschil. Na kursie III p. Ottawowa. Dopełnieniem najwyższego kursu są lekcye udzielane przez prof. Melcera-Szczawińskiego, znanego pianistę i kompozytora, w oznaczonych terminach. Opłata na wszystkich kursach wynosi od 3—12 zł. miesięcznie. Lokal szkoły ul. Teatralna 16.

Agitacyjną podróż po wschodniej Galicyi odbywa teraz poseł Daszyński. Tamtego czwartku przemawiał na wiecu w Samborze, w sobotę na ruskich „narodnych zborach“ w Stryju a onegdaj wygłosił mowę na „zborach“ w Kołomyi. Podróż ta ma być wyrazem sympatyi socyalistów dla strejkowego ruchu na Rusi, a zarazem pouczeniem Rusinów, jak mają skutecznie urządzać strejki.

Historyczne manewry. We Włoszech mają się tymi dniami odbyć wojskowe manewry, które mają wiernie odtworzyć bitwę pod Rivoli stoczoną 14 i 15 stycznia 1797 między Francuzami a Austryakami. Francuskiem wojskiem dowodzili wtedy Massena i Napoleon Bonaparte, Austryakami gen. Alvinci. W bitwie zwyciężyli Francuzi.

Nowe mody. Z Wiednia piszą: Gdyby ktoś wynalazł teraz środek pewny i stanowczy na schudnięcie, zrobiłby u nas w Wiedniu, kolosalny majątek. Albowiem płeć piękna naddunajskiego grodu jest w przerażeniu. Ogłoszone zostały już mody zimowe. Krój sukień ma być niezwykle „secesyjny“; damy, stosujące się do wyroków mody, muszą być szczupłe i wiotkie.

Łatwiej byłoby to powiedzieć w Paryżu lub we Lwowie. Lecz w Wiedniu, gdzie kształty niewieście rozrastają się tak bujnie! Po prostu rozpacz! Z pięknych oczu leją się potoki łez z powodu zbyt wydatnych wypukłości. Wszystko nic nie pomoże. Tegoroczne hasło mody brzmi: *place aux maigres*! Damy „otyłe“ mogą zostać w domu!

Poetka tańca. W wielkiej sali monachijskiego pałacu sztuki popisywała się w tych dniach tancerka kalifornijska, panna Duncan, zwana poetką tańca. Młoda amerykanka uczyniła swoją specyalnością tańce starożytne i doszła w tym kierunku do mistrzostwa. Dla zaznajomienia publiczności z treścią danego tańca, przed każdym popisem towarzyszący tancerce prelegent odczytuje odpowiedni poemat. Jak zapewniają sprawozdawcy pism monachijskich, widok panny Duncan tańczącej przypomina najpiękniejsze arcydzieła rzeźby greckiej. Ruchy tancerki są tak pełne wdzięku, klasycznego spokoju i pewności czarującej, że nadana jej nazwa jest całkiem uzasadniona. Podczas tańca panna Duncan nosi strój kobiet starogreckich i ma stopy bose.

„Kohn-Lexicon“. Pod tym tytułem wyszła nakładem antisemickiego pisma humorystycznego *Kikeriki* broszurka humorystyczna, która wyzyskuje w celu ośmieszania żydów wielką liczbę wyrazów cudzoziemskich w języku niemieckim, zaczynających się od sylaby *con* np. *concret*, *Conflict*, i zmieniając ortografię tych wyrazów w duchu antisemickim, interpretuje je w taki oto sposób: *Kohn kräht* (Kohn pieje), *Kohn fliegt* (Kohn wylatuje), przyczem dodaje do każdej takiej interpretacyi odpowiednią ilustracyę karykaturalną. Broszurka ta niezawodnie nie przysporzy żydom nowych nieprzyjaciół, ale tych, którzy już nimi są, a także i innych czytelników może ubawić, jest więc dość niewinną. Wydana jest bardzo starannie.

Zmarli. W Krakowie zmarł Jan Fryderyk Somogyi, adjunkt kolei państwowych, przeżywszy 38 lat.

Stan powietrza. T. o g. 6 rano + 9, w poł. + 12 R. Bar. 767. Podnosi się. Deszcz.

Ukarana ciekawość.

Pryncypał. Czyś pan zadowolony z pensyi?

Subjekt. Nie, panie pryncypale.

Pryncypał z rozpaczą: A to osieł ze mnie! I po co ja się pytał!

Repertuar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś we czwartek po raz 2gi „Kominiarze“ komedya ludowa w czterech aktach Fr. Domnika. — W piątek po raz 18ty „Piękna z Nowego Jorku“ operetka w 3 aktach (5 odsł.) H. Mortona, muzyka G. Kerkera. — W sobotę po raz 10ty „Dramat Kaliny“ 3 akty prozą Z. Kaweckiego. — W niedzielę o godz. wpół do 4tej po poł. Isze popołudniowe przedstawienie po raz 14sty „Na Łyczakowie obraz sceniczny ze śpiewami i tańcami w 4 akt. Fr. Domnika. Wieczorem o godz. 7mej po raz 5ty „Wdowa z Malabaru“ operetka w 3 aktach Hervego. — W poniedziałek z powodu wielkich przygotowań do wystawienia „Krzyżaków“ i próby generalnej ze „Świata na opak“ przedstawienia nie będzie. — We wtorek po raz 1szy „Świat na opak“ fantastyczno-burleskowa operetka w 5 odsł. Krenna i Lindaua z muzyką Karola Kapellera. — We środę po raz 2gi „Świat na opak“. — We czwartek po raz 1szy „Krzyżacy“ obraz dziejowy w 10 odsłonach z powieści Sienkiewicza, przerobił na scenę Adolf Walewski. — W piątek po raz 2gi „Krzyżacy“. — W sobotę po raz 3ci „Świat na opak“.

Korespondencya Administracyi. *WP. Zygmunt Wiśniowski, c. k. starszy oficyał sądowy w Wadowicach.* Na skutek zażaleń Pańskich z d. 22 i 24 sierpnia, udaliśmy się do lwowskiej Dyrekcyi poczt z prośbą o przeprowadzenie urzędowych dochodzeń i zbadanie, dlaczego przeznaczone dla Pana numera *Przeglądu* ginęły tak często. Z dochodzeń tych okazało się, że woźny sądowy odbierał codzień regularnie *Przegląd* z urzędu pocztowego w Wadowicach. Co zaś dalej robił z gazetą, to już leżało po za zakresem kompetencyi władzy pocztowej. Aby zaś skargom kres położyć, Dyrekcya poczt w uprzejmości swojej wydała rozkaz, aby odtąd *Przegląd* był doręczany WPanu przez listonosza. Spodziewamy się więc, że już wszelkie niedokładności ustąpią.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** P. Franciszek Domnik napisał dość dobrą sztukę dla niedzielnej publiczności „Na Łyczakowie“, którą też grano u nas z powodzeniem, ale wczorajsza sztuka pt. „Kominiarze“ zupełnie mu się nie udała. Przedewszystkiem nie wiadomo, z jakim rodzajem sztuki mamy tu do czynienia: czy z poważnym dramatem, czy ze zwykłą sztuką ludową, taką ze śpiewami i tańcami, jakiej się według afiszu wielu spodziewało? Otóż na poważny dramat jest wczorajsza sztuka stanowczo za banalna, na sztukę ludową za nudna, za mało dowcipna i ruchliwa. Od autora, który nie posiada siły twórczej w szlachetniejszym gatunku, ale który za to dobrze obserwuje różne typy epizodyczne: przedmiejskie, ludowe itp. — a takich autorów mamy dużo — nie wymaga się bynajmniej jakiejś oryginalnej osnowy sztuki, ba, nawet z góry jesteśmy przygotowani na jakąś zupełnie pospolitą kolizyę miłosną, która się wreszcie kończy, albo wyjściem Numy za Pompiliusza, albo w jakiś inny szablonowy sposób, ale za to spodziewamy się, że ta treść będzie tylko kanwą, na której autor nadzierzga mnóstwo epizodycznych wesołych scen, wysypie nam jak z rogu obfitości mnóstwo już to śmiesznych, już to zabawnych, już to tylko charakterystycznych postaci i rozbawionych puści nas do domu. Naturalnie nie jest to ogólna recepta, bo przecież i epizody mogą być dobre i fabuła sztuki niebanalną, ale kto odstępuje od utartego zwyczaju, niech ma przynajmniej do tego talent. W ostatnich czasach widzieliśmy na naszej scenie dwie dobre sztuki ludowe: p. Domnika „Na Łyczakowie“ i Przybylskiego „Szwaczki“, ale „Kominiarze“ są płodem zupełnie poronionym.

Majster kominiarski Ignacy Dzwonkowski (p. Jaworski) chory na anewryzm serca, ma bardzo edukowaną córkę Zosię (pani Morska), którą chce wydać za bardzo przyzwoitego ale już nieco podeszłego wieku czeladnika Antoniego (p. Wysocki). Zosia radaby wprawdzie wyjść za młodszego czeladnika Mieczysława (p. Roman), zakochanego w niej po uszy, ale nie śmie się sprzeciwiać woli ojca, aby go do grobu nie wtrącić i postanawia być mu posłuszną, tak że stary Ignacy nie ma nawet pojęcia o tem, ile nieszczęścia sprowadził jego plan uczynienia córki szczęśliwą. Wprawdzie w dzień ślubu Zosi z Antonim chce Mieczysław wtargnąć do Ignacego, wyjawić mu wszystko — dopiero teraz! — i błagać o rękę Zosi, ale musi zaniechać tego porywu, dowiedziawszy się — dopiero teraz! — od przyjaciół Ignacego, że jego ojciec wyrządził kiedyś Ignacemu jakąś krzywdę i nabawił go właśnie owego anewryzmu serca. Jaka to była ta fatalna krzywda, która ma mieć tak smutne konsekwencye, tego się nie dowiadujemy, ale cóż to może nas obchodzić, skoro nawet sam Mieczysław o to się nie wypytuje!

W IIIim akcie jest już Zosia panią Antoniową. Tak Antoni jak i Mieczysław starają się o koncesyę kominiarską; większe szanse ma Mieczysław jako syn majsterski, kominiarz z ojca i dziada, podczas gdy Antoni jest przybłędą. A więc Mieczysław nawet na polu ekonomicznem może zdystansować Antoniego, co się okazuje bodaj w tem, że daje łapówki hojniej niż Antoni, — tembardziej wypływa na wierzch ten nonsens poprzednich aktów, że tak Mieczysław jak i Zosia nie zadawali sobie najmniejszego trudu, by popracować nad swojem szczęściem i wyjednać u Ignacego pozwolenie na swój związek. Następnie jednak jeszcze większy nonsens, jeszcze nieprawdopodobniejsze poświęcenie: Oto z namowy starej Franciszki (pani Gostyńska) Zosia poświęca się dla męża i prosi Mieczysława, aby Antoniemu odstąpił koncesyę, to znaczy swoją przyszłość, swój byt materyalny poświęcił dla człowieka, który mu już raz wydarł szczęście. I szlachetny Mieczysław przyrzeka to szlachetnej Zosi, za co dostaje od niej siostrzany pocałunek w czoło, poczem wybiega, włazi kominem na dach jakiejś kamienicy i rzuca się na dół. Nawiasem mówiąc jest to przecież pierwszy nieszlachetny postępek z jego strony, bo jeżeli chciał już być kompletnie szlachetnym, to powinien był tylko udać, że mu na koncesyi tak bardzo nie zależy i wyjechać, a nie swojem samobójstwem zatruwać Zosi i Antoniemu owoców tego poświęcenia. Zresztą szlachetność jego mija celu: ta bowiem ubóstwiana, dla której życie sobie odbiera, na widok trupa rozmiażdżonego na ulicy sama również upada i umiera na anewryzm serca, odziedziczony po ojcu.

Zbytecznem byłoby wykazywać szczegółowiej naiwność tej fabuły. Pytanie tylko, co w niej jest specyficznie kominiarskiego, aby usprawiedliwiało tytuł? Chyba tylko rodzaj samobójstwa Mieczysława, bo zresztą ta sama historya sercowa rozegrać się mogła tak samo wśród stolarzy, krawców, lub w sferach inteligentnych i wyższych. Nawet o wiele by to prawdopodobniejszem było, gdyby się rozegrała wśród sfer wykształconych, jako bardziej skłonnych do sentymentalizmu. Wówczas i ów styl napuszony, literacki, jakim przemawiają osoby sztuki p. Domnika, byłby może bardziej na miejscu, chociaż i wtedy nie byłby dość naturalnym i z życia wziętym!

Jedynie „kominiarskim“ jest akt III-ci, który rozgrywa się w mieszkaniu czeladników i ma parę silnych, dobrych scen, np. scenę, w której Mieczysław i Antoni skaczą sobie do oczu i przymawiają sobie, nie obwijając nic w bawełnę, jak prawdziwi a nie tylko przebrani kominiarze. Jak już zaznaczyliśmy, cały nacisk autora niestety spoczywa na fabule, na rzekomej tragedyi szczęścia i obowiązku, a figury epizodyczne rozdawane są dość skąpo. Mamy radzcę miejskiego Wołowicza (p. Węgrzyn), który codzień wysusza bomby piwa dla dobra miasta, bardzo porządnego żyda Baumanna, przyjaciela Ignacego (p. Feldmann), który po jego śmierci dla córki urządza sklep ubiorów dziecinnych — fakt, którego w życiu nigdy się nie spotyka, komicznego pierwszego drużbę (p. Kuncewicz), który jest mieszaniną zamierzonej elegancyi i mimowolnej ordynarności. Występuje także kilku kominiarzy, ale niema wśród nich wcale charakterystycznych figur: jest tylko stereotypowo wesoły kominiarczyk (p. Nowacki) i kominiarz pijanica (p. Kwiatkiewicz). Najlepszym, z życia pochwyconym typem, jest Krętasiewicz (p. Fiszer), pośrednik, który trudni się brudnymi interesami i wyłudza zarówno od Antoniego, jak od Mieczysława pieniądze na łapówki dla wpływowych osób, jeden z tych, którzy podczas wyborów dostarczają kontyngentu t. zw. hyen wyborczych.

Grano sztukę p. Domnika ogółem bardzo dobrze. Teatr był dość pełny — być może dlatego, że afisz zapowiadał komedyę, gdy tymczasem „Kominiarze“ są najtragiczniejszą tragedyą.

* **Kalendarz studencki 1902/3.** Zestawił Henryk Kopia, prof. II. gimnazyum we Lwowie. Lwów, nakładem Stanisława Köhlera.

Jest to już dziewiąty rocznik tego pożytecznego i zgrabnego kalendarzyka kieszonkowego, który wśród uczniów szkół średnich cieszy się popularnością. Zawiera on prócz zwyczajnych informacyi kalendarzowych biografię Maryi Konopnickiej (z portretem), artykuł dra Eug. Piaseckiego pt. „Jak ochraniać zdrowie?“, zestawienie treściwe najważniejszych zasad fizyki i najważniejszych wzorów i formułek matematycznych, dokładne wiadomości o wszelkiego rodzaju szkołach krajowych i zakrajowych, oraz miejsce na zapiski szkolne, na spis książek przeczytanych i pożyczonych itp. Dokończenia spisu „dzieł godnych czytania“, w tym roczniku nie umieszczono, z powodu, że autor jego zaskoczony chorobą, nie mógł go zestawić. Będzie ono umieszczone w następnym, dziesiątym roczniku.

Cena tego kalendarza wynosi 1 K. 60 h.

Głosy publiczności.

Z Filharmonii lwowskiej. Dyrektor Jarecki zaprasza członków towarzystw śpiewackich, którzy raczyli przyjąć udział w wykonaniu kantaty w dniu otwarcia Filharmonii, na próbę w sobotę dnia 20 bm. na godzinę ½ do 8 mą wieczorem do sali prób Filharmonii w gmachu skarbkowskim.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 17 września.

(Z). Gotówka zaczyna drożeć i to nietylko u nas, ale w wyższej jeszcze mierze na wielkich rynkach zachodnich, osobliwie na londyńskim. Z niecierpliwością oczekują sfery giełdowe jutrzejszych depesz z Londynu, gdyż spodziewają się wyczytać w nich wiadomość, iż bank angielski podwyższy swą stopę procentową. Wynosi ona obecnie 3% i obowiązuje od 6 lutego br. Podwyższenia stopy procentowej w Londynie spodziewają się z tego głównie powodu, iż zapotrzebowanie gotówki na giełdzie nowojorskiej jest niebywale wielkie i spekulanci amerykańscy płacą za nią szalone procenta, to też zachodzi obawa, że jeżeli dyrekcya banku angielskiego czemprędzej nie podwyższy stopy procentowej, w takim razie złoto zacznie odpływać z Anglii do Ameryki. Nadto i ten wzgląd czyni podwyższenie stopy procentowej w Londynie prawdopodobnem, że eskont prywatny, który tam jest zazwyczaj o ½—1% tańszy od oficyalnego, zrównał się już z nim prawie zupełnie i wynosi dziś $2^{15}/_{16}$%.

Także w Berlinie, gdzie aż do tej pory można było gotówkę w eskoncie prywatnym otrzymać na 2%, a nawet jeszcze taniej, podrożała ona ostatnimi dniami na 2¼% do 2½%. Wreszcie i w Wiedniu od kilkunastu już dni eskont prywatny stale drożeje i zbliża się obecnie do 3%. Być może zatem, że znajdujemy się na wstępie nowego okresu droższej stopy procentowej.

Na giełdzie przeważała i dziś słaba tendencya, zwłaszcza w pierwszem stadyum, gdyż pogłoski o zachmurzeniu się horyzontu politycznego naszej monarchii nie ustawały. Około południa nastał zwrot na lepsze skutkiem wiadomości, że tymi dniami odbędzie się nowa konferencya obu rządów w sprawie odnowienia ugody węgierskiej, ostatecznie jednak tylko kolejowe papiery skorzystały z tego, wszystkie zaś inne zamknięto niżej.

Z dzisiejszych raportów z giełdy paryskiej okazuje się, że nierozważna mowa ministra Pelletana wywarła na targu pieniężnym wrażenie, które wcale nie może być przyjemnem rządowi. Renta włoska spadła o przeszło ½%. Prasa stojąca na usługach rządu p. Combes wmawia wprawdzie w czytelników, że spadek ten jest tylko następstwem pogłosek o zamierzonej konwersyi renty włoskiej, nikt jednak tym zapewnieniom nie wierzy, bo przecież pogłoski te kursują już od przeszło tygodnia, a nie wywierały dotychczas wpływu na kurs renty włoskiej, aż dopiero gdy p. Pelletan powiedział w Ajaccio swą szowinistyczną mówkę.

Ostatnie notowania:

Akcye austr. Zakł. kredyt. 685·75, węg. Zakł. kredyt. 724·00, Anglobanku 279·00, Unionbanku 544·00, Länderbanku 422·50, Bankvereinu 458·00, Bodencredit 939·00, Gal. Banku hip. 538·00, Statsbahny 710·25, Lombardy 79·75, Kol. Elbethal 466·00, Północnej 5780, Czerniowieckiej 567·00, Alpiny 373·00, Rima Muranyi 497·00, Praskiego Tow. żel. 1518, Fabryki broni 327·00, Tureckie tytoniow. 310·50, Oblig. węg. indemniz. 97·75, Renta majowa 101·15, Austr. renta koronowa 100·25, Węgier. renta koronowa 98·05, 56-letnie Listy Tow. kredyt. ziem. 96·60, 4% Listy Banku krajow. 97·00, 4½% Listy Banku krajow. 101·00, 4% Listy Banku hipotecznego 96·50, 4½% Listy Banku hip. 100·60, 5% Listy Banku hipotecz. 110·00, 4% Gal. Oblig. propin. 99·15, 4% Gal. poż. kraj. z r. 1893 98·00, 4% Poż. m. Lwowa 94·50, Losy tureckie 113·75, Marki 117·05, Ruble 253.00.

TELEGRAMY „PRZEGLĄDU“.

(Depesze poranne).

Sasvar 18 września. Wczoraj o godz. 9 rano odbyło się w namiocie cesarskim pod przewodnictwem Monarchy posiedzenie, na którem omawiano przebieg manewrów. Obrady trwały do ½12 w południe. Monarcha wyraził uznanie dla dzielności wojsk i ich dowódzców, oraz podziękował szefowi sztabu jeneralnego br. Beckowi za znakomite przygotowanie manewrów. Cesarz wystosował pismo odręczne do arcyksiążąt Franciszka Ferdynanda, Fryderyka, do komendanta korpusu Uexküll Gyllenbada, do szefa sztabu gen. br. Becka i ministrów: Krieghammera, Welsersheimba i Fejervary'ego. W pismach tych podnosi Monarcha ich zasługi i wyraża swe zadowolenie. O godz. 12-tej odbył się obiad, poczem o godz. 2 giej udał się Monarcha na dworzec, żegnany owacyjnie przez ludność.

Na dworcu zgromadziło się wielu dygnitarzy. Przed odjazdem zwrócił się Cesarz do starszego żupana Kramolina i powiedział doń: „Wyrażam swe żywe zadowolenie z nadzwyczajnego porządku i pięknego przyjęcia i pochwalam wzorowe zachowanie się ludności. Proszę w mojem imieniu podać to do wiadomości ludności“. Następnie odjechał Cesarz przez Lundenburg do Wiednia.

Paryż 18 września. Pisma nacyonalistyczne donoszą, że prezydent ministrów Combes w ostrych słowach zrobił ministrowi Pelletanowi wyrzuty z powodu jego mowy w Ajaccio. Stało się to na interwencyę włoskiego ambasadora u ministra Delcassego.

Temps pisze między innemi, że wawrzyny Andreego nie dają spokoju Pelletanowi; dzięki Bogu jednak prasa angielska i niemiecka nie bierze jego przemówień zbyt tragicznie, a zdaje się, że takie same będzie zapatrywanie Włoch. *Journal des Débats* pisze, że dawno nie widziano podobnej anarchii ministeryalnej. Jeżeli prezydent ministrów uznaje podobną komedyę za naturalną, to przynajmniej minister spraw zagranicznych powinien temu koniec położyć. *Liberté* również ostro atakuje rząd, tylko *Patrie* broni Pelletana i jego mowy w Ajaccio i przypomina, że prasa Crispiego przez 10 lat nazywała Korsykę częścią włoskiej irredenty.

Berlin 18 września. *National Ztg.*, omawiając zamierzoną podróż jenerałów boerskich do Berlina, pisze, że takt i powaga nie pozwalają na żadne czcze demonstracye. Rząd niemiecki jest też zdecydowany nie dopuścić do manifestacyi boerofilskich w obrębie Niemiec.

Rzym 18 września. Minister poczt i telegrafów Galimberti udał się do Turynu, aby porozumieć się z Marconim co do utworzenia we Włoszech wielkiej stacyi telegrafu bez drutu.

Paryż 18 września. Ajencya Havasa ogłasza następującą notę: Otwarcie szkół ludowych w departamencie Finistère odbyło się wczoraj w zupełnym spokoju. Według sprawozdań, nadesłanych z 32 gmin, liczba uczniów wynosi o 627 więcej, niż w roku zeszłym, chociaż jeszcze nie wszystkie szkoły otwarto.

Kursk 18 września. Wczoraj przedpołudniem skończyły się wielkie manewry rosyjskie, poczem w południe odbyło się śniadanie, w którem uczestniczył car, wielcy książęta i około 4000 oficerów. Car wzniósł toast na pomyślność wojsk, które brały udział w ćwiczeniach.

Londyn 18 września. Królowa i księżniczka Wiktorya odjechały wczoraj na jachcie królewskim do Kopenhagi.

Monachium 18 września. Na wczorajszem posiedzeniu zjazdu socyalistów zdawał poseł Rosenau sprawę z czynności parlamentarnej frakcyi socyalistycznej i omawiał taryfę cłową; zapowiedział też, że socyaliści wniosą przedłożenie ustawy o 8-godzinnym dniu pracy.

Petersburg 18 września. W gmachu uniwersytetu otwarto 9-ty międzynarodowy kongres kryminalistów. Minister sprawiedliwości Murawiew powitał zjazd imieniem rządu.

Odessa 18 września. Od 11 do 18 września stwierdzono tu 6 nowych wypadków dżumy. W czasie zaś od 10 czerwca do tej chwili było ogółem 24 wypadków, a z tego 6 śmiertelnych.

Bukareszt 18 września. Na proweniencye z Odessy wyznaczono 6-dniową kwarantannę i zamknięto porty Constanzę i Mangalię. Okręty podlegają kwarantannie w porcie Sulina, podróżni, jadący pociągami w miejscowości Singeni, gdzie badają ich lekarze, a rzeczy są dezynfekcyonowane.

Johannesburg 18 września. Według przedsięwziętych badań geologicznych w południowej Afryce koło Witwatersrand, główna żyła złota ciągnie się nieregularnie przez 20 mil, po części w Transvaalu, po części w Oranii. Siła wodna i węgiel są w pobliżu w dostatecznej ilości.

(Depesze popołudniowe).

Rzym 18 września. Aresztowano w Turynie niejakiego Cattaneo, członka rady zawiadowczej Banku eskontowego. Mają być uwięzieni inni jeszcze członkowie zarządu tego Banku.

Pekin 18 września. Amerykański poseł Conger przedłożył urzędowi spraw zagranicznych list pewnego misyonarza z prowincyi Szeczwan. W liście tym opisuje ów misyonarz zamordowanie kilkunastu chrześcijan w lipcu br. przez Bokserów. Jedenastu chrześcijan wymordowano, a urzędnicy chińscy nie chcieli nic uczynić, aby temu zapobiedz. Według późniejszych telegramów, sytuacya jeszcze się pogorszyła.

Berlin 18 września. Stosunkami w pruskich prowincyach polskich ma się niebawem zająć rada koronna. W ministerstwie oświaty wczoraj i dziś obradowano nad urzeczywistnieniem projektów kulturalnych (ściśle mówiąc germanizacyjnych) dla Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

Berlin 18 września. Zapewniają, że cesarz Wilhelm podczas pobytu w Poznaniu oświadczył się przeciwko założeniu uniwersytetu w Poznaniu, a za utworzeniem kursów akademickich. W tym kierunku czynione są dalsze kroki.

Poznań 18 września. *Posener Neueste Nachrichten* donoszą, że niemiecki wykład religii ma być rozszerzony na wszystkie wyższe oddziały szkół wiejskich w powiecie gnieźnieńskim.

Kraków 18 września. W teatrze miejskim pomocnicy maszynistów i posługacze do noszenia mebli rozpoczęli dzisiaj strejk z powodu nieuwzględnienia przez dyrekcyę żądań podwyższenia płacy. Niebawem jednak dyrekcya strejk ten zażegnała.

Nowy Jork 18 września. Prezydent Roosevelt odbył z kilku senatorami kilkugodzinną konferencyę, na której omawiano sytuacyę polityczną. Z wiarygodnego źródła donoszą, że postanowiono nie przeprowadzać w przyszłej sesyi parlamentarnej rewizyi taryfy. Roosevelt ma wytrwać na stanowisku, zajętem wobec trustów. Wzajemność z Kubą ma być nadal utrzymaną. Strejku robotników w kopalniach węgla na tej konferencyi nie omawiano.

Waszyngton 18 września. Aby z jednej strony wziąć w obronę żydów rumuńskich, z drugiej zaś zapobiedz licznemu ich przybywaniu do Ameryki bez środków do życia, rozesłał sekretarz stanu Hay równobrzmiące telegramy do amerykańskich ambasadorów i posłów przy mocarstwach, które podpisały traktat berliński. W telegramach tych poleca ambasadorom zwrócić uwagę mocarstw, że powinny przypomnieć Rumunii jej obowiązki wobec cywilizacyi i nakłonić ją do polepszenia stanowiska i doli żydów rumuńskich.

HOTEL GEORGEA.

Przyjechali dnia 18 września. Hr. R. Skarbek ze Lwowa. Hr. T. Miączyński i A. Zadora z Warszawy. T. Bohdan z Milatyna. A. Mess z Radziwiłłowa. A. Kolb z Kamieńca podolskiego. A. Gosiewski z Radlina. J. Tarlo z Odessy. A. Sharpe z Londynu. L. Horodyski z Tłusteńkiego.

HOTEL EUROPEJSKI

Lwów — Plac Maryacki

ALBERT SZKOWRON.

Przyjechali dnia 18 września. Hr. K. Rostworowski z Hrehorowa. M. Bocheńska z Królestwa Polskiego. A. Zaremba Cielecki z Hadyńkowiec. W. Woźniak z Kent. A. Szaszkiewicz z Mielca. M. Grünwald z Worochty. H. Heim z Norymbergi. T. Wysocki z Zubowmostów. St. Kozłowski z Ochrymowic. A. Frenzel z Berlina. A. Hoenig i J. Rosner z Wiednia. J. Zych z Tarnopola. X. Hankiewicz z Dereniówki. J. Golda z Kobylanki.

HOTEL FRANCUSKI.

Lwów — Plac Maryacki.

Pierwszorzędny hotel z komfortem urządzony, pilzneńska restauracya z pokojem do śniadań, cukiernia w miejscu.

Przyjechali dnia 18 września. W. Gnoińscy z Krasnego. O. Horodyska ze Strzelisk A. Wayhinger z Tarnowa. N. Sutter z Bielska. M. Fischerowie z Pragi. J. Orobkiewiczowie z Brzeżan. M. Banatowski z Gusztyna. W. Rudzińska z Żurawna. K. Werner ze Śniatyna. H. Gruga z Trembowli. W. Krasnopolski z Latacza. F. Fürst z Wiednia. J. Stern z Wiednia. J. Rottler z Toporowa. J. Załołek z Czerniowiec. H. Czaykowski z Białego Dworu. O. Beck z Wiednia. W. Fuchsbalg z Wiednia. N. Lekczyńska z Remenowa.

Giełda południowa (godzina 12 minut 30).

Wiedeń 18 września.

Marki 117.07, renta majowa 101.15, węg. renta koronowa 98.05, Akcye: austr. zakł. kredyt. 686.75, węg. zak. kred. 725.00, anglobanku 279.00, unionbanku 544.—, bankvereinu 458.00, länderbanku 425.00, kolei państw. 712·25, lombardy 80.00, akcye kolei Elbethal 467.00, fabryki broni —.—, tytoniowe 316·50, alpiny 374·00, Rima Muranyi 498.—, praskiego Tow. żel. ——, losy tureckie 115·50, ruble 253·25. Usposobienie spokojne.

Wiedeń 18 września. Kursa giełdowe.

Losy: a) procentowe:

Austr. zakł. kr. z obl. pr. z r. 1880	3%	265.50
" " " " " 1889	3%	263 —
Tow. żegl. na Dunaju 100 zł. m.k.	4%	—.—
Uregulow. Dunaju z r. 1870 100 zł.	5%	290 —
Węg. Banku hipotecznego po 100 zł.	4%	254·50
Pożyczka serbska prem. po 100 fr.	2%	91 —
Tureckie obl. prem. kolej po 400 fr.		113·10

b) bezprocentowe:

Budapeszteńskie (Basilica) 5 zł. 19·25, Zakł. kred. dla h. i p. po 100 zł. 428.—, Clary 40 zł. m. k. 204.—, Pożyczka m. Insbruku 20 zł. 88.00, Losy m. Krakowa 20 zł. 79.—. Pożyczka m. Lublany 20 zł. 79.—, Ofen 40 zł. 198.00, Palffy 40 zł. m. k. 190.00, Czerw. krzyża austr. 10 zł. 54.70, Czerw. krzyża węg. 5 zł. 27·60. Losy fund. arcyks. Rudolfa 10 zł. 72.—, Salma 40 zł. m. k. 250·00, Pożyczka salcburska 20 zł. 83.—, Pożyczka St. Genois 40 zł. m. k. 260.00. Losy komunalne m. Wiednia r. 1874 426 —.

Wiedeń 18 września. (Giełda towarowa). Cukier 17·40 (stały). Nafta galicyjska bez zmiany. Spirytus (bez zmiany) 40·—.

Berlin 18 września. (Zamknięcie giełdy). (Podług obliczenia procentowego). Banknoty austryackie 85·45. Spirytus 00·00.

Paryż 18 września. (Zamknięcie giełdy). Trzyprocentowa renta 100·40. Mąka („Fleur de Paris“) 28·40.

Frankfurt 18 września. (Giełda zagraniczna). Kredyty austryackie 216·25. Koleje państwowe 000·00 exclusive kupon. Alpiny 000·00. Disconto 187·75. Laura 198·40.

Wiedeń 18 września. (Giełda zbożowa). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień 7·11—7·12, na wiosnę 7·36—7·37; żyto na na jesień 6·41—6·42, na wiosnę 0·00—0·00; kukurudza na sierpień-wrzesień 0·00—0·00, na wrzesień-październik 5·89—5·90, na maj-czerwiec 0·00—0·00; owies na jesień 5·90—5·91, na wiosnę 0·00—0·00. Rzepak na sierpień-wrzesień 10·65—10·75. Olej rzepakowy 00—00. Tendencya: nieco lepsza. Pogoda: pochmurno.

Lwów 18 września. (Z izby handlowej).

Obliczenie w walucie koronowej.

Akcye za 100 K.: Kolej gal. Karola Ludwika po 420 Koron —·00 do —·00, Kolej Lwowsko-Czern.-Jaska po 400 kor. 565.00 do 575.00. Banku hipotecznego po 400 kor. 586.00 do 550·00. Akcye garbarni w Rzeszowie po 400 kor. —·— do 000·—. Tow. budowy wagonów w Sanoku po 500 koron 000·— do 850.—. Banku dla handlu i przemysłu po 400 k. 840.— do 860.—.

Listy zastawne za sztukę: Banku hipot. gal. 5 proc. los. w 50 lat. z 10 proc. prem. 109·70 do 000·00 4 i pół proc. los. w 50 lat 100·— do 100·70, 4 proc. los. w 60 lat 95.80 do 96·50. Banku kraj. 4 i pół proc. los w 51 lat 101.20 do 101.90 Banku kraj. 4 proc. los w 57 lat 97·00 do 97·70. — Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 96·50 do 97·20, 4 proc. los w 41 i pół latach 96.70 do —.—, 4 proc. los w 56 lat 96·20 do 96.90.

Obligi za sztukę: Gal. fund. propinacyjnego 4 pro 99·00 do 99·70. Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 do —·—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102·80 do 108·00. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97·00 do 97·70. Pożyczki kraj. z r. 1873 6 proc. —·— do —.—. 4 proc. z 1893 r. 97·80 do 98·50, miasta Lwowa 4 proc. po 200 koron 94·80 do 95·00, 4½% po 200 koron 100·50 do 101.20.

Monety. Dukat cesarski 11·22 do 11·34. Napoleondor 19·00 do 19·20. Rubel rosyjski papierowy 252·50 do 254·50. 100 marek niemieckich 116·90 do 117·40.

Ruch pociągów kolejowych

ważny od 1go maja 1902 roku według czasu środkowo europejskiego.

Przychodzą do Lwowa:

Z Krakowa: **2.31***, **1·35**, **8·40***, 6·10, 8·50, 5·50 i 9.50.
Z Rzeszowa: 10·25.
Ze Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 9.32*.
Z Podwołoczysk (na dworzec główny): **2·35**, 8·00, 5·35 10·20*; na Podzamcze: **2·20**, 7·40, 5·11, 10·02*.
Z Tarnopola: 3.35* (na dw. gł.); 8·14* na Podzamcze.
Z Czerniowiec: **12·15***, **1·45**, 6·20, 5·40 i 9·20*.
Ze Stanisławowa: 11·55.
Ze Stryja: 8·10, 1·10, 4·40, 10·50*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie) 6.50, 9.12*.
Z Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 włącznie w niedziele i święta) 8·14, 8·04*.
Z Janowa 7·45, 1·28, 9·25*, 10·08*.

Odchodzą ze Lwowa:

Do Krakowa **12·45***, **8·30**, **2·55**, 4·15*, 8·40, 6·20*, 11·00*
Do Rzeszowa: 8·36.
Do Przemyśla: 8·25*.
Do Szczerca (od 1/6 do 15/9 w niedz. i święta) 2.00.
Do Podwołoczysk z dworca głównego: **1·55**, 6·30, 9·00* 11·10*; z Podzamcza: **2·09**, 6·48, 9.20*, 11·32*.
Do Tarnopola: 10·40 z dw. głównego i 10·57 z Podzamcza.
Do Czerniowiec: **2·51***, **2·40**, 6·25, 10·30, 10·30*.
Do Stanisławowa: 6·10*.
Do Stryja: 6·35, 9·00, 3·05, 6·35*.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 codziennie) 5.50*, 8.26.
Do Brzuchowic (od 15/5 do 14/9 wł. w niedziele i święta) 2.15, 8.16*.
Do Janowa: 9·15, 1·25, 8·15 6·30*, 10·05*

Uwaga. Pociągi pośpieszne drukowane są literami tłustemi; pociągi nocne oznaczone są gwiazdką. Pora nocna liczy się od godz. 6 wieczór do 5 min. 59 rano.

26)

Człowiek niewidzialny.

Romans fantastyczny

H. G. WELLSA.

(Ciąg dalszy).

Kemp zbliżył się do okna. Coś zaszeleściło pod ścianą. Odskoczył przerażony.

— Robię się nerwowy... — pomyślał. — To był wróbel...

Wtem usłyszał dzwonek u drzwi wchodowych; zbiegł na dół. Otworzył drzwi kluczem, odryglował je i uchylił, nie spuszczając łańcuszka.

Za drzwiami rozległ się głos znany — pułkownika Adye.

— Napadł pańską służącą... — mówił przez drzwi. — Wyrwał jej list z ręki. Jest w pobliżu... Wpuść mnie pan.

Kemp odjął łańcuch. Adye wszedł przez tak małą szparę, że zaledwie mógł się przecisnąć. Doktor zamknął znowu drzwi na klucz i łańcuchem je zasunął.

Pułkownik dostrzegł lufę rewolweru, wychodzącą z kieszeni Kempa.

— Wyrwał jej z rąk listy — mówił Adye — poturbował ją. Ona dostała spazmów... Cóżeś pan pisał?

— To dopiero ze mnie głupiec! — wołał Kemp. — Że też tego nie przewidziałem!... Z Hintondean godzina drogi... On już tu grasuje.

— Co się stało? — pytał Adye.

Kemp podał mu list Człowieka Niewidzialnego. Adye przeczytał go.

— Cóż pan na to? — rzekł.

— Zastawiłem na niego pułapkę. Pisałem o tem do pana. List wpadł w jego ręce. Dobrze mi tak, bom osioł.

— On umknie, jak zobaczy, co się tu dzieje.

— Wątpię bardzo; to go tylko do walki podnieci.

Z góry doleciał odgłos tłuczonego szkła.

— To okno w pracowni — objaśnił Kemp.

Byli już na schodach, gdy brzękło znowu. Wszedłszy do pracowni, ujrzeli dwa okna potłuczone, pokój zasypany szkłem.

Wtem trzecie okno rozbryznęło się w drobne kawałki.

— Co to znaczy? — pytał Adye.

— To jest początek.

— Czy nie można dostać się tu z zewnątrz?

— Nawet kot nie zdoła tego dokazać.

— Nie ma okiennic?

— Nie ma. Tylko w pokojach na dole.

Doleciał ich nowy brzęk.

— To w pokoju sypialnym — objaśnił Kemp. — On mi wszystkie szyby wytłucze. Głupi! Na dole okiennice zamknięte od środka i szkło będzie padało na ulicę; nogi mu skaleczy.

Znowu jedno okno obwieściło o swem rozbiciu.

— Wiem już, co zrobię — zawołał pułkownik Adye. — Daj mi pan jaką grubą laskę. Pójdę do posterunku policyi i każę wypuścić wszystkie brytany. One go potrafią uspokoić.

I znowu jedno okno wypadło z brzękiem.

— Czy masz pan rewolwer? — pytał Adye.

Kemp dotknął kieszeni żakieta.

— Nie — rzekł — nie mam zbywającego — dodał.

— Odniosę go, a pan tutaj jesteś bezpieczny.

Kemp zawstydził się swojego niedokończonego kłamstwa.

Zeszli do sieni. Druga szyba brzęknęła w pokoju sypialnym. Doktor podszedł do drzwi, jak mógł najciszej. Był bledszy, niż zwykle.

— Wysuń się pan szybko — rzekł.

Adye był już za drzwiami, które natychmiast zostały zaryglowane i zabezpieczone łańcuchem. Wahał się chwilę, czuł się bezpieczniejszym, mając drzwi za plecami, ale opanował swą obawę. Minął podwórze i znalazł się przy furtce. Po trawie przebiegł niby wiaterek; coś się poruszyło.

— Stój! — rzekł głos niewidzialny.

Adye stanął, zacisnął pięść z rewolwerem.

— Czego chcesz? — zapytał blady, wzburzony.

— Zrób mi tę przyjemność i zawróć się... — rzekł głos rozkazująco.

— Przykro mi odmówić... — odparł Adye, siląc się na spokój.

Zrobiło mu się sucho w gardle; musiał wilżyć usta. Głos był po jego lewej ręce — a nużby szczęścia spróbować?

— Gdzie idziesz i po co? — pytał głos.

W kieszeni pułkownika mignął błysk stali.

— Gdzie idę, to moja rzecz... — odparł Adye.

Nie dokończył tych słów, gdyż niewidzialna ręka chwyciła go za kark, noski kolano w swych plecach, ale nie wypuścił rewolweru. Strzelił niebacznie, na chybił-trafił, potem dostał pięścią w usta, zachwiał się, rewolwer wysunął mu się z ręki, pułkownik upadł na ziemię.

— Tam do licha... — mruknął.

Głos roześmiał się.

— Zabiłbym cię na miejscu — rzekł — ale mi szkoda naboju.

Adye ujrzał rewolwer, wiszący w powietrzu nad swemi piersiami.

— Czego żądasz? — spytał.

— Wstań — zakomenderował głos.

Adye wstał.

— Bez żadnych figlów... — mówił Głos tonem rozkazującym. — Pamiętaj, że ja ciebie widzę, a ty mnie dojrzeć nie możesz. Wracaj do tego domu.

— On mnie nie wpuści.

— Ha! Szkoda. Nie chciałem z tobą zadzierać.

W tych słowach była straszna groźba.

Adye zwilżył znowu usta językiem, odwrócił się od lufy rewolweru, przeniósł wzrok na morze, lśniące, jak stal, w promieniach południowego słońca, spojrzał na miasto rodzinne i nagle pomyślał, że jednak życie jest miłe. Wzrok jego po tej wędrówce spoczął znowu na lufie.

— Co mam zrobić? — szepnął Adye.

— Nic, tylko wejść do tego domu.

— Spróbuję. Gdyby nie chciał mnie wpuścić, postaram się wejść przemocą.

— Z tobą nie chcę zadzierać — powtórzył Głos.

Wypuściwszy pułkownika, doktor przeszedł na górę i teraz wyglądał przez potłuczone okno pracowni i słyszał, że Adye parlamentuje z Człowiekiem Niewidzialnym.

— Czemu też nie strzelił? — myślał Kemp. Nagle błysnął rewolwer.

Doktor osłonił oczy od słońca i zobaczył swoją broń, zawieszoną w powietrzu.

— Ten głupiec Adye dał sobie wyrwać rewolwer!...

— Przyrzeknij — mówił Adye — że nie będziesz drzwi popychał, że nie wślizniesz się za mną.

— Nie nie obiecuję.

Adye powziął nagłe postanowienie. Zmierzał ku domowi, szedł powoli, z rękoma założonemi na plecach. Rewolwer sunął za nim w powietrzu. Nagle Adye odwrócił się, wyciągnął rękę, chciał go uchwycić, ale w tejże chwili runął twarzą na ziemię, a w powietrzu uniósł się lekki obłoczek dymu. Kemp usłyszał wystrzał. Pułkownik próbował dźwignąć się, ale znowu upadł i już leżał spokojnie.

Dzień był gorący; dokoła panowała cisza, przerywana jedynie brzęczeniem much i szelestem skrzydeł motylich.

Adye leżał pod krzakiem bzu. Okienice wszystkich will okolicznych były zamknięte, tylko w jednym domku przy oknie widać było drzemiącego staruszka. Kemp spojrzał uważniej dokoła, ale postać znikła.

Wtem dzwonek odezwał się u drzwi wchodowych, po chwili zaczęto się do nich dobijać. Służba, stosując się do poleceń Kempa, siedziała w suterenie.

Znowu zaległa cisza.

Kemp czekał chwilę, wreszcie wyjrzał przez jedno okno, potem przez drugie i trzecie. Zeszedł do sieni i nasłuchiwał. Wszedł do pokoju sypialnego, wziął pogrzebacz i poszedł obejrzeć okna parterowe. Wrócił do pracowni. Zobaczył, że Adye leży wciąż, jak martwy; zobaczył też swoją służącą, która zmierzała ku domowi, prowadząc dwóch policyantów. Szli bardzo wolno.

Wtem doktor usłyszał jakiś dziwny trzask. Zbiegł na dół do kuchni; ktoś rąbał siekierą po ramie okna; od tych uderzeń rozpadły się okienice, ale ramy były okute. Rąbanie ustało nagle.

Kemp wyjrzał przez potłuczone okno w kuchni i zobaczył rewolwer, leżący na trawniku. Nagle broń zawisła w powietrzu i zwróciła się ku niemu. Doktor odskoczył, kula utkwiła w ścianie.

Znów odezwał się dzwonek u drzwi wchodowych. Kemp cichutko, na palcach zeszedł do sieni i spuścił łańcuch, ale służąca musiała mu się opowiedzieć przezedrzwi. Za nią wsunęli się policyanci.

— Człowiek Niewidzialny ma rewolwer — objaśniał doktor szeptem. — Zostały mu jeszcze dwa naboje. Zabił pułkownika... Nie widzieliście go na podwórzu? Leży tam, jak martwy.

— Kto? — spytał policyant.

— Adye — odparł Kemp.

— Nie spostrzegliśmy trupa... — mówił drugi policyant. — Co to za hałasy?

— On dobija się do drzwi kuchennych. Niewiadomo, skąd dostał siekierę.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Redaktor odpowiedzialny: **Wacław Masłowski.** — Papier z fabryki Czerlańskiej — Z drukarni E. Winiarza.